BIBLJOTEKA NARODOWA

Nr. 49

Serja I

JULJUSZ SŁOWACKI

TRZY POEMATA

OPRACOWAŁ

JÓZEF MAURER

A. P.

KRAKOWSKA·SPÓŁKA·WYDAWN.

[illegible]

[illegible]

TRZY POEMATA

[illegible]

[illegible]

[illegible]

KRAKÓW

[illegible] WYDAWNICZEJ

Nr. 49 BIBLJOTEKA NARODOWA Serja I

JULJUSZ SŁOWACKI

TRZY POEMATA

WYDAŁ I OBJAŚNIŁ

PROF. JÓZEF MAURER

WYDANIE DRUGIE

KRAKÓW

NAKŁADEM KRAKOWSKIEJ SPÓŁKI WYDAWNICZEJ

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI
1925

WSTĘP

I

SŁOWACKI PRZED WYDANIEM »TRZECH POEMATÓW«

Zawiadamiajac matkę, że za dni kilkanaście wyjeżdża do Genewy, pisze Slowacki dnia 8 grudnia 1832 r.: »Potrzeba zmusza mnie do wyjazdu, więc i dobrze, że mnie w poetyczniejsze krainy posyła«. Na podrażnione nerwy poety poczęły spadać róże i fiołki wyobraźni... Opuszczał Paryż bez żalu, choć go »w jednem zgromadzeniu ziomków proszono na klęczkach prawie, ażeby został« [1], bo w owem mieście, jak pisze, »nic nie znalazłem przyjemnego, żadnego wspomnienia, oprócz chwili, w której przyniesiono mi pierwsze dwa tomiki poezyj«. Rzucał się w nowy świat, w krainę cudów i czarów przyrody, jako ów »pielgrzym tajemniczy«, który wędruje po świecie, »farby zbierając do dzieła«, ażeby znaleźć u celu wędrówki: Piękno i Świętość...

Jechał do Genewy w tej denerwującej duszę świadomości, że jest skazany »żyć bez uczuć, skazany, abym przez całe życie czekał sławy« [2]; że nie ma »żad-

---

[1] Genewa, 30 grudnia 1832 r. [2] Paryż, 22 lipca 1832 r.

nych przyjemności uczuć, tylko przyjemności wrażeń«[1]; z dumnym i jedynym może zamiarem, by »ciągłym szturmem dziel zdobywać sławę« [2]. Ale z głębokiem już zastanowieniem nad sobą i poniekąd samosądem: »...czuję, że uczucia moje są skrzywione, bo wstrząśniony smutkiem, znajduję w nim jakąś głupią poetyczną, egzaltowatą rozkosz. Darujcie mi jednak, bo ja w dzieciństwie kształciłem się tak, abym nie był podobnym do ludzi, a teraz dopiero pracuję nad sobą, aby być podobnym do człowieka« [3]. Jechał samotny sercem i duszą (»już się ani do miejsc ani do osób, z któremi żyję, nie przywiązuję tak silnie jak w dzieciństwie...«)[4]; z »nudą i zniechęceniem« w zbolałem czasem istotnie sercu, które zobaczy nieraz »pustem«, a zgłodniałem »uczuć i szczęścia«. Głód poetycznych wrażeń każe mu nawet w szczerych, choć pewnie egzaltowanych listach matki widzieć cały ogrom »poezji smutku«, tak wielkiej, »że nikt, nikt z żadnych pisarzy do niej się nawet nie zbliżył«; nudzić się na świecie, jak na lichej paryskiej sztuce teatralnej, bo »ten świat nudny: zupełnie inny, niż wam się wydaje« [5], i żyć jedynie w krainie marzeń: jej absolutny władca i niewolnik...

Zna jednak wartości życia i ciążące na sobie obowiązki względem ojczyzny, i niejednokrotnie ozwie się w duszy echo wyrzutów babki, na które odpowie w liście pisanym dnia 4 października 1832 r.; to echo, które usłyszy potem w Genewie Lambro, gdy »miljo-

---

[1] Paryż, 26 maja 1832 r. [2] Paryż, 30 lipca 1832 r.
[3] Paryż, 4 października 1832 r. [4] Genewa, 30 grudnia 1832 r.
[5] Paryż, 9 listopada 1832 r.

nowe patrzyły nań duchy: Czemuś nie skonał, gdy wszyscy konali?«

Życie przemawiało nieraz silnie, ale Słowacki był zrazu jednym z tych, którzy »życie mienili na sen gorączkowy, sen tak jasnemi grający barwami, że chwile życia — wydają się — snami, a sen szalony wydaje się życiem«. »Świat uczuć — pisze — zniknął dla mnie i przez kilka następujących lat żyłem w innym świecie poezji... w przeszłości...« Historja jego życia »będzie tylko prawie historją rozwijania się i formowania poezji« [1], bo, jak sam siebie określa: »nie jestem niczem innem, jak mojemi poezjami« [2]. Te zasię mówią:

Oto mój żywioł — ta ciemność ponura i t. d. [3]

oraz:

Wyście się po mnie wiele spodziewali,
Lecz miałem skute cierpieniem ramiona,
I wiecznie w tłumu zanurzony fali
Nie mogłem czoła wznieść nad tłum — cierpiałem [4].

A był to bezpłodny ból serdecznej pustki, idący z fatalnej wiary w prawdę nieprawdy koncepcji życia, którego nie starał się nawet poznać, bo je »puszczał mimo siebie« [5], z rozmiłowania się duszy w projekcjach »chorej wyobraźni«. Ból, który rodził wrodzony smutek i pesymizm duszy, »właściwy — jak mówi — mojemu usposobieniu i czasowi« [6], »jesienne usposobienie duszy« [7], t. j. smutek »René'go Chateaubriand'a, który powiada, że musiał się zmniejszyć uczuciami i zmaleć, ile razy chciał, aby ludzie z nim obcowali« [8]; smutek

---

[1] Paryż, 22 lipca 1832 r. [2] Paryż, 7 marca 1832 r. [3] *Lambro*, II, 12. [4] Ibid. [5] Genewa, 24 marca 1832 r. [6] Genewa, 18 grud. 1834 r. [7] Genewa, 27 paźdz. 1833 r. [8] Genewa, 28 września 1834 r.

Byrona, Malczewskiego i tylu innych ludzi, »będących obrazem naszego wieku«, których »dwoma głównemi charakterami« są »nuda i zniechęcenie« [1]. W takiem usposobieniu przybył Słowacki do Genewy i już 10 lutego 1833 r. donosi matce: »Lepiej mi jest w Genewie, niż w Paryżu«, a w rok potem: »Pobyt w Genewie różni się zupełnie i spodziewam się, że utworzy obraz wspomnień najcichszy i najprzyjemniejszy«.

Istotnie: pobyt w Genewie jest okresem bardzo ważnym w życiu Słowackiego. To bowiem okres pracy, skierowanej ku temu, »abym — jak pisze — w sobie filozoficzną piękność wytworzył« [2], i aby »ciągłem usiłowaniem w drodze do wyższych marzeń« [3] mógł dojść do nieznanej przedtem harmonji artystycznej w poezji i do możliwego dlań na teraz ideału człowieka w życiu. Poeta zdaje sobie doskonale sprawę z ważności i wielkości tej genewskiej pracy nad sobą, o czem świadczy list, pisany do matki z Florencji dnia 2 kwietnia 1838 r.: »Przy niej (księżnie Survilliers) znalazłem dawną uszczypliwość w rozmowie i dziwi mnie to, bom sądził, że się już byłem pozbył na zawsze, przez pięć bowiem lat i więcej poważność jakaś zastąpiła była jej miejsce«.

Zupełna »przemiana« stanie się możliwa za lat kilka, nie wyobrażam sobie jednak, aby ona była możliwą, gdyby duch Słowackiego nie odbył roboty »w przeświętej serca ludzkiego ciemnicy«, wpatrzony i wsłuchany w platońską muzykę sfer, jaka się niosła ponad białemi szczytami Alp, i w ową cudną »harmonją, która

[1] Genewa, 6 czerwca 1834 r. [2] Genewa, 27 kwietnia 1834 r.
[3] Genewa, 20 października 1835 r.

wszystko łączy i nalewa jednym kolorem«. Zapewne, Rzym i Krasiński, Grecja i Egipt, a potem Ziemia święta, to dalsze i ostateczne ogniwa ewolucyjnego łańcucha, spojonego w żarze »idei nowej, rozwiniętej«, ale pierwszem, zupełnie ukształtowanem, bezsprzecznie Genewa, w której rolę »anioła stróża« spełniała przedewszystkiem przyroda, a potem Biblja i Kochanowski, Dante i Szekspir, i jego własny duch.

Przyroda, rzecz powszechnie znana, jak miękka, cicha ręka matki uciszała myśl i serce poety. »Piję wszystkiemi zmysłami poezję wiosny i szwajcarskiego powietrza... Tu wszystko cichą przybiera barwę, nawet wspomnienia wielkich ludzi są wspomnieniami cichego życia« [1]. Co więcej: poeta czuje, że »wśród takiej natury trzeba być smutnym, albo trzeba się kochać« [2]; potrzeba żyć bezpośredniością i prawdą żywych, czynnych uczuć: »w takim kraju potrzeba mieć tylko serce napełnione i spokojne«. Wie jednak, że on »ani jednego, ani drugiego nigdy w życiu« nie miał. Ale to nie jego wina. »Na mnie Bóg rzucił jakieś przekleństwo, na mojej drodze stawia mi lalki, zabawkę; serce moje żywię okruszynami uczuć i w moich uczuciach nic niema oprócz tej jakiejś nieskończonej niespokojności, bez rysów prawie, a którą jednak widzę wszystkiemi zmysłami« [3].

Winien temu Bóg czy Los, życie czy ludzie, imaginacja poety czy książki, z których nauczył się płakać i »zmarszczeniem brwi świat wstrząsać«, a nie mógł nauczyć się »nic nie zostawiać po sobie, czegoby mógł

---

[1] Genewa, 15 marca 1833 r. [2] Genewa, 27 października 1833 r.
[3] Ibid.

żałować« [1]. W chwilach najszczęśliwszych czy najspokojniejszych dobywała się nagle z mroków fosforyzującej imaginacji i kart czytanej książki niespokojność, »mająca jakąś twarz ludzką i bladą«, i odbierała »nagle smak pokarmom, które — poeta niósł — do ust« [2]. »Wstaję — więc — nagle i chodzę, jak warjat«, powiada Słowacki, a wzrok jego pada na białe kwiaty wiosny, stojące w blaskach słońca, i znów ucisza się serce. »Sympatyzuję teraz więcej niż kiedykolwiek z naturą, i zdaje mi się, że czuję ją do głębi duszy« — donosi dnia 24 marca 1834 r.

Poczyna teraz »pić wszystkiemi zmysłami« już nie poezję wiosny, ale jej prawdę i harmonję; uczy się jej i częściowo zdobywa. »Trzy miesiące przepędzone pośród najpiękniejszych widoków przyrodzenia były wielką dla mnie nauką« [3]. Była to rewelacyjna lekcja, dana poecie i człowiekowi, który zrozumie konieczność harmonji w sztuce i w życiu i urzeczywistni ją narazie w poezji: w błękitnym i białym poemacie — *W Szwajcarji*, i w pełnym prawdy uczuć i artystycznego umiaru *Ojcu zadżumionych*.

Poeta czuje i zdaje sobie sprawę z tego, że się w nim rodzi nowy świat uczuć i pragnień: »Ja teraz zmierzam do spokojności i wszystkie moje nauki i książki, których używam, zmierzają do tego, abym w sobie filozoficzną piękność moralną utworzył. Do tego już tyle w nauce postąpiłem, że czuję w sobie jakąś spokojność, natchniętą przez godność natury człowieka. Ze-

---

[1] Genewa, 27 października 1833 r. [2] Ibid.
[3] Genewa, 20 października 1835 r.

wszął widzę, że ludzie bez wewnętrznej spokojności próżno się o zewnętrzną starają« [1].

Przyroda ma już nietylko »poić pięknością« oczy i wyobraźnię, ale nauczyć, »aby mieć na długo serce pełne myśli, rozpływających się w Bogu...« Toteż »nie uwierzysz, Mamo — pisze w tym samym liście — jak podróż przeszłoroczna wpłynęła wiele na wewnętrznego mnie, a jak ja często mówię: na wewnętrznego we mnie anioła. Zdaje mi się, że myśli moje odmłodniały« [2]. On, który nie liczył się dawniej z »potrzebami« nikogo na świecie, czując tylko swoją »potrzebę« artysty, wyznaje, że »znienawidził« swoje »pierwsze utwory«. »Czuję potrzebę większej doskonałości — dodaje — rozwinęło się we mnie jakieś nowe piękności uczucie. Nie wiem jeszcze, jak się ono przyoblecze w słowa, ale starać się będę, aby coś jasnego napełniało moje karty, aby więcej łez było w słowach«. »Uważałem harmoniją, która wszystko łączy i nalewa jednym kolorem. Postrzegłem, że sztuka powinna naśladować tę dziwną jedność wszystkiego. Zastanawiałem się długo nad drzewami, kwiatami, szmerem, różnemi dźwiękami natury, widziałem ją zbliska błękitną albo chmurną. Raz, wyszedłszy na wielką górę, pod nogami miałem wielki parów, zarosły sosnami, bardzo ciemny, przerznięty potokiem. Było to w niedzielę rano. Dzwon kościoła wiejskiego, nadzwyczaj głośny i ponury, napełniał całe powietrze. Cały ten obraz ożywiony był duszą dzwonu, jak ciemny poemat, w którym brzmi imię Boga« [3], tego Boga, który zażąda kiedyś rachunku.

---

[1] Genewa, 27 kwietnia 1834 r. [2] Genewa, 30 czerwca 1835 r.
[3] Genewa, 20 października 1835 r.

W odczuwaniu »tego« Boga uświadamia sobie, że jest »na coś potrzebny«, a jeżeli chciałby czegoś dla siebie, to chciałby »tylko mieć zupełną wolność głośnych marzeń«, bo »czemże ja byłbym, gdybym stracił te okienko duszy, przez który na świat patrzę i odzywam się do przechodzących pod domkiem moim ludzi«[1].

W stosunku do nich był dawniej zimny, obojętny, nie! — nienawidził *vulgus profanum*. Teraz, choć nudzi się z nimi i »niczego się nawzajem od ludzi dopytać« nie mogąc, powraca »zwykle zmęczony i pozbawiony« swoich »marzeń, bo rozmowa z ludźmi jest to [dla niego] pole, gdzie — jak się wyraża — ja moje złote myśli, moje samotne marzenia na zdawkową rozmieniam monetę i rozsypuję. Skutek ten sam, zawsze moją miłą własność tracę«[2] — ale, choć nie wie dlaczego, żal mu ludzi. Dziękuje Bogu, że na jego »drodze nie rzucił wszystkich serc z kamienia«[3], ale zarazem czuje, że »nie mam nikogo, coby mi najmniejszą chwilę życia przyjazną rozmową skrócił, nikogo, coby mnie przyjaźnie za rękę ścisnął«[4]. Wie jednak, że to »wina — jego — odludnego życia, wina miejsca, w którem żyje«, a nakoniec, że ma »w sobie coś, co tak na ludzi działa, że nigdy — z nim — spoufalić się nie mogą«[5].

Samotność »materjalna« i duchowa, tak dawniej wprost ukochana i szczęście dająca, teraz staje się bolesną: »Ale jestem bardzo samotny, bardzo samotny«, płacze, i czuje, że »samotność tak zupełna, jaką — ma — teraz, złą jest dla człowieka«[6]. Głęboka już za-

---

[1] Genewa, 20 paźdz. 1835 r. [2] Florencja, 2 stycznia 1838 r.
[3] Genewa, 20 sierpnia 1834 r. [4] Genewa, 5 lutego 1835 r.
[5] Ibid. [6] Veytoux, le 23 Août 1835 r.

duma i refleksja nad sobą każe mu uchwycić prawdziwy, głębszy jej powód i wyrazić go jako nieumiejętność poznania »głęboko serca ludzi« [1].

Wzrasta jednak świadomość własnej wartości. Czuje, że idzie »nieznany i smutny«, ale jest pewny, że »kiedyś może powiedzą ludzie, że wart — był — własnego domku, ogrodu i kilku przyjaciół« [2], bo czuje w sobie duszę samotnego orła, króla ptaków, »co śpi na igłach śniegu, nie budząc się kiedy wicher obrywa pióra, co nie ma przyjaciół i szczęśliwy, że sam... patrzy na słońce...« [3].

Świadoma siebie dusza wielkiego samotnika wie, że »trzeba lecieć, gdzie wiatr mnie powieje i modlić się u Chrystusa, aby — mu — kiedyś dał ciszę i spokojność« [4]. Niespokojna narazie dusza poety będzie tęsknotą wyczarowywać Chrystusa, którego »postać spokojna«, »choć bardzo cierpiał«, będzie stawała przed nim »na błękicie fali, z głową otoczoną promieniami«, i będzie szukać nadziemskich natchnień i piękności, której narazie z siebie dobyć nie umie.

Ale raz po raz wraca »dziwny — dla niego — fenomen, ta oziębłość dla wszystkiego i wszystkich« [5]. Zdobywana z takim trudem spokojność łamie się i rozpryska, bo »jakiś wulkan zaczyna wybuchać« i serce jego znów się napełnia jakiemiś nieograniczonemi zachceniami, i znów — musi »pracować, aby się stać panem« [6] swej duszy. Któż nie dosłyszy echa tych walk duchowych w *Anhellim*?

---

[1] Genewa, 20 października 1835 r. [2] Ibid.
[3] Genewa, 30 czerwca 1835 r. [4] Bayrut, 19 lutego 1837 r.
[5] Florencja, 19 maja 1838 r. [6] Florencja, 3 października 1837 r.

Jak zielone, fascynujące oczy węża nęci go i hipnotyzuje, mimo wszystko, świat i ludzie, a zwłaszcza bezwzględne fatum-przeznaczenie: sława, o którą modlił się w dzieciństwie, i które przez większą część jego życia będzie gasiło przed oczyma każdy blask i zabijało w sercu każde uczucie. Pragnienie i wyczekiwanie jej będzie niewysychającem źródłem jego mąk: »Biada wielka, że mój ojciec, kiedy mi dał życie, zajęty był nadto swoją tragedją *Mindowe* i tobie, kochana Mamo, musiał nią głowę nabić. Bez tego nieszczęśliwego wydarzenia byłbym wcale do rzeczy człowiekiem, nie lunatykiem, nie pośmiertno-chodzącym«[1]. Zjawiający się w mglistej perspektywie czasów pośmiertnych olbrzymi anioł sławy rzucał ogromny cień skrzydeł na teraźniejszość i każdą jej wartość: »Biada tym, którzy zasmakują w błędnem życiu na świecie i przywykną do nadziei znalezienia czegoś dobrego na końcu wędrówki. W oczekiwaniu takiem wszystko teraźniejsze niesmaczne«[2]. A kiedy mgła pocznie się zgęszczać, serce poety zapłacze boleśnie: »bo też ja prawdziwie biedny jestem! Ani teraźniejszości, ani złotej nadziei«[3].

Zdobyć ją jednak musi, i wie, że zdobędzie, bo się porwie »jak gladjator« do walki z ludźmi. »Walka z obojętnością ludzi« daje mu szczęście, bo »podobną jest do walki tytanów... rzuca — mu — na czoło wielkie światło piorunu«, które daje mu pewność, że będzie »pięknym kiedyś«[4]. A będzie to piękność nie tego posągu, któremu »lampy brak«, ale klasyczna piękność

[1] Genewa, 7 listopada 1834 r. [2] Ibid.
[3] Genewa, 18 grudnia 1834 r. [4] Genewa, 24 maja 1835 r.

Wenus Medycyjskiej i nieśmiertelność zdobytych olbrzymią pracą ducha — Idei. Bohaterska Grecja z Leonidasem, Egipt z piramidami i Wschód z Chrystusem i nowemi źródłami Piękna rozpłomienią łampę, którą zapaliła Szwajcarja, że będzie świecić w »długie narodowe noce«, aby rozprószyć mroki zwątpień i ułatwić duszom poznanie i zdobycie istotnej prawdy życia.

W takich nastrojach duszy pisał Słowacki lub kończył cały szereg utworów we Florencji, gdzie osiadł na pewien czas po podróży na Wschód, — i wysyłał je kolejno do Paryża. Po *Anhellim*, ogłoszonym w r. 1838, wydał w r. 1839 *Trzy poemata*, które utworzyły trylogję bólu czy smutku. Nie wiem, czy Słowacki wydał je razem z tego właśnie powodu, bo przecie poematem bólu jest także choćby *Anhelli*. Wydał je razem prawdopodobnie dlatego, że były w ścisłem tego słowa znaczeniu — »poematami«.

II

ROZBIÓR PSYCHOLOGICZNO-ESTETYCZNY »TRZECH POEMATÓW« [1]

1

»W SZWAJCARJI«

Jeżeli zważy się, jaki jest stosunek Słowackiego do przeszłości, teraźniejszości (jemu współczesnej) i przyszłości, stanowiących czy materjał poetycki, z którego

[1] Dalszy ciąg uwag znajdzie czytelnik w objaśnieniach, dodanych do każdego z poematów.

wyobraźnia snuła swoje tęczowe lub błyskawicowe przędze, czy jego duszy właściwy kąt patrzenia na życie i ułożenie swego do niego stosunku (tak jasno on określony na tylu miejscach listów do matki), i jeżeli nadto— co równie bardzo ważne — przypomni się i jego własnemi zeznaniami poprze, że kochać, choć chciał, nie umiał, czy nie mógł, to tem samem rozwiąże się zasadnicze pytanie: czy poemat *W Szwajcarji* jest poematem miłości rzeczywistej, czy »marzonej«, pośrednio zaś także, kiedy mógł powstać i powstał.

W liście do matki, pisanym dnia 30 grudnia 1832 r., powiada o swoim pobycie w Genewie, że »utworzy obraz wspomnień najcichszy i najprzyjemniejszy«, a nieco później doda: »prawdziwie, że źle ulepione serce człowieka: przeszłość nie powinna nam się piękniejszą wydawać niż była« [1]. »Wszytko — zaś — co zniknęło w przeszłości, pisze 18 grudnia 1834 r., ma dla mnie teraz anielską twarz i anielski głos«.

Już zaś w Paryżu stwierdzał dnia 20 października 1831 r., że »wojaż bardzo wiele daje wyobrażeń, szkoda tylko, iż wszystko ukazuje mniej pięknem, jak było w imaginacji, i potem zostaje w pamięci dwa obrazy: jeden taki, jaki być powinien, oczami wymalowany, drugi piękniejszy, dawniej utworzony przez imaginację. Kiedyś utworzy się trzeci i najpiękniejszy z imaginacji i sennego przypomnienia i połączy w sobie wszystko najpiękniejsze z tych trzech obrazów«. I dziwił się: »Nie pojmuję, jak Byron mógł pisać na miejscu«.

Fakt więc rzeczywisty, jeśli się będzie miał stać

[1] Genewa, 30 listopada 1833 r.

materjałem poetyckiego odtworzenia, będzie zawsze tylko kanwą, na którą rzucać pocznie wyobraźnia złoty haft ludzi i obrazów, przeświecający poprzez misternie narzuconą mgłę »sennego przypomnienia« przeszłości; ona zaś, jak wiadomo, ma dla Słowackiego »anielską twarz i anielski głos«. Z tego też właśnie powodu »bohaterka« poematu *W Szwajcarji* »zniknęła jak sen jaki złoty«, a może »z tęczy wyszła i z potoku piany«, i poeta nie wie, dlaczego jego dusza »nie wylatuje za nią do aniołów«.

Takiego zaś faktu, jaki stanowi treść poematu, w rzeczywistości, w życiu Słowackiego nie było. Drobiazgi, szczegóły rzeczywiste wyolbrzymiła nadludzka wyobraźnia poety i złączywszy je ze szczegółami, które wytworzyła sama, czy przejęła częściowo z lektury, stworzyła obraz ten najpiękniejszy, trzeci — »z imaginacji i sennego przypomnienia«. Nie troszczyła się zaś najzupełniej o materjalną jego prawdę, bo jej na niej zgoła nie zależało.

Jest to więc istotnie »miłość marzona«, poemat o miłości, a nie — poemat miłości, jak np. IV część *Dziadów*, bo Słowacki naprawdę nikogo, prócz matki, nie kochał. Miłość ta zresztą, to zupełnie inne uczucie, naturalne oczywiście, równie jak miłość mężczyzny do kobiety, ale wolne od konieczności ofiarowania siebie na rzecz osoby drugiej. Jeszcze z Florencji pisze do matki dnia 3 stycznia 1838 r.: »chciałbym się kochać, ale nie mam w kim«, jakkolwiek miłość do Ludwiki Śniadeckiej »pierwszą i ostatnią była, I najsilniejsza z uczuć, uczucia przeżyła«.

»Bohaterką« więc poematu nie jest żadna z kobiet,

które spotykał w życiu i które chwilowo zdawały się być wcieleniem jego »marzeń«, »pieśnią« jego życia. Ani więc Ludwika Śniadecka, ani Marja Wodzińska, ani też żadna (osobiście!) z »Nimf Niagary, podobna do tych widm, które Manfred wywoływał z tęcz nad wodospadami...« [1], i które »coś czystego« miały w »charakterze«, co je »zbliżało do Nimfy mitologicznej i do Najady, której mieszkaniem są strumienie« [2], ale wszystkie razem, złączone w obrazie »sennego przypomnienia« w jedną imaginacyjną postać, »tak pełną w sobie anielskiego świtu« i »rozwidnioną źrenicą z błękitu«.

Ale chociaż poemat nie jest wyrazem rzeczywistej w realnych szczegółach miłości, choć go jak »żadnego chyba utworu nie można scharakteryzować tak całkowicie jednym wyrazem: poezja« [3], — jest jednak marzeniem o niej, przeżywaniem jej jakoby — w marzeniu, stwarzaniem sobie wyobraźnią i oddawaniem się przez nią temu uczuciu, którego życie wydobyć z serca nie mogło. I może serce, lecąc na skrzydłach marzenia, tęsknoty i wyobraźni, nie w pełnem świetle sobie współczesnej teraźniejszości, ale w błękitnych mgłach przeszłości, uwierzyło na chwilę w prawdę... marzenia.

Poemat cały ukończony został z pewnością po wyjeździe Słowackiego z Genewy i Szwajcarji. Wykazuje zaś tak nadzwyczajną głębię i prawdę psychologiczną i taką mistrzowską subtelność i pewność symbolicznego rysunku, że, chociaż bezsprzecznie jest obrazem miłości »marzonej«, jest zarazem obrazem intuicyjnie odczutej miłości rzeczywistej, ujęciem w formę dramatu

---

[1] Florencja, 2 stycznia 1838 r. [2] Florencja, 10 lipca 1838 r.
[3] J. Kleiner, *Juljusz Słowacki, Dzieje twórczości*, T. II, str. 131.

»wyobrażenia ogromnej miłości, niepodobnego do osiągnięcia«. W jaki zaś sposób stać się to mogło, to już jest tajemnicą genjuszów.

Ustęp pierwszy, to jakby odwrócenie oczu poza siebie, podobne do tej bolesnej »retrospekcji« *Ojca zadżumionych*, zawartej w jęku:

> O! niewiadoma ta boleść nikomu,
> Jaka się w mojem sercu dziś zamyka!

z odpowiednią naturalnie różnicą natężenia uczuciowego; to jakby westchnienie rozrzewnionego żalu i tęsknoty za kochanką, która »zniknęła jak sen jaki złoty«, bowiem widzeniem sennem była marzenia, złotą i białą zjawą rozkochanej wyobraźni. I jako sen znikła w pełnem świetle refleksji, czy — kiedy zgasły tęczowe blaski wyobraźni, ubierające postać kochanki w światło i wisznie i róże...

Tę nierealność zjawy, serdecznego krzyku wyobraźni człowieka i artysty, podkreśla poeta dwa razy, w drugim zaraz ustępie, mówiąc wyraźnie:

> Tam ją ujrzałem! i wnet rozkochany,
> Że z tęczy wyszła i z potoku piany,
> Wierzyć zacząłem i wierzę do końca. (w. 19—21)

i nieco później:

> Bo się lękałem, że jak widmo blade,
> Nim dusza ze snu obudzona krzyknie,
> Upadnie w przepaść, w tęczę i w kaskadę,
> I roztopi się i zgaśnie i zniknie. (w. 31—34)

Nic zaś dziwnego, że ten wymarzony sercem i wyobraźnią ideał-bóstwo wywoływał jak Manfred z »tęcz nad wodospadami«, że je jak alabastrową, oży-

wioną pocałunkiem twórcy statuę stawiał na tle kaskady, »gdzie Aar wody błękitnemi spada«, bo rozmarzonej wyobraźni poety zjawił się ten błękitno-biały ideał »pod jasną tęczy różnofarbnej bramą«. Wyczarowała go dziewicza piękność natury szwajcarskiej, która oddała mu swoje barwy i blaski, na które smutek poety rzucił delikatny woal sennego rozmarzenia i bryłantowo-białą mgłę swych łez...

Piękno prześwieca przez łzy; »gór nadalpejskich sneżysta dziewica«, ubrana w księżycowo-biały welon rozmarzenia poety. I to jest ta harmonja, która »wszystko łączy i nalewa jednym kolorem«. Że zaś uczucie poety obudzić się mogło tylko przez piękno i tylko dla piękna, więc:

Gdy oczy przeszły od stóp do warkoczy,
To zakochały się w niej moje **oczy**;
A za tym zmysłem, co kochać przymusza,
Poszło i serce, a za sercem dusza. (w. 25—28)

»I tak się zaczął romans prędko klecić« bo tej baśniowo cudownej kochance dodawała piękna bajecznie piękna przyroda i bajecznie bogata wyobraźnia poety.

Miłość objawiła się naprzód uśmiechem, słodkim i ciepłym jak pierwszy promień słońca na wiosnę: »Najpierwszy uśmiech jej przyleciał do mnie«, »a gdy zobaczył«, że oczy mężczyzny poczęły wchłaniać go, jak wchłania ciepło słońca spragniona pierś kwiatu, już pragnąca, choć jeszcze nieświadoma treści pragnienia, »całą jej białą twarz zamienił w różę...«

Miłość wiosenna, »bez wstydu i grzechu«, która z kochanki czyni »jeziora błękitnego panią«, a mężczyźnie pozwala prawie »z duchami się bratać, chodzić

po wodach i po niebie latać« — i cały świat każe oglądać przez czarodziejskie szkła cudownych i szczęśliwych złudzeń, że jest królem, chociaż jest tylko niewolnikiem:

I mogła była, co chce, zrobić ze mną.

Przeczyste uczucie zachwytu i czci, przypinające kochance anielskie skrzydła do ramion; uczucie, któremu nawet głośne wyznanie wzajemności wydaje się zrazu »płochością«, przerwaniem ciszy i świętości rozmodlenia, ażeby potem — prawem natury — rozpętać burzę uczuć i »łono rozerwać uśmiechami« pierwszych, jeszcze nieuświadomionych jasno pokuszeń zmysłów...

Już się poczęło w duszach wielkie misterjum miłości, wyznanej i powtarzanej słowami, a jako pierwsze wyznania — onieśmielające wzajemnie, chociaż nachylające ku sobie ramiona w gorący, mocny uścisk i zbliżające usta, spragnione pocałunków... Życzliwa, bo zbliżająca — i »niewierna«, bo oddalająca fala, nad którą stali, symbol może tajemniczych czarów przyrody, odbija w swojem zwierciedle parę zakochanych w sobie przeczystych aniołów (»zmięszała niby anioła z aniołem«), ale łącząc ręce i usta, rozbudza ludzi, którzy pragną...

Zmysły poczęły rozpalać się wcześniej w dziewczynie... Odczuwając instynktownie wrażenie czaru, jakie sprawia w lodowej grocie, dokąd zaprowadziła kochanka, i broniąc się przed niem, »cała się szatą zakryła zazdrośnie«, a taka była cudna w swojej płonącej niewinności, »tak nieruchoma stała«, jakby w oczekiwaniu złotego błysku, że poeta modlić się zaczął: *Ave Maria!*

Ale czar rośnie... Młoda krew poczyna różowić silniej białą pierś róży »odemkniętej«, która zachwyciła już z oczu mężczyzny tego ognia, jaki rozpaliła sama. Więc:

. . . zamyślona odwróciła głowę
Palec na ściany kładąc kryształowe,
Jak ta, co imie ukochane kryśli,
Lub o błękitnych jakich myślach—myśli, (w. 153—156)

czując, jeszcze nieświadomie całkiem, że miłość obejmuje ją całą płomieniem.

Mistrzostwo Słowackiego w intuicyjnem wniknięciu w powolne budzenie się kobiety i mężczyzny, w subtelne i delikatne płomienienie się krwi od różu rumieńca do purpury pragnienia, i oddanie tego duchowo-fizycznego przejścia zapomocą jemu właściwych barw, z których każda staje się tonem muzycznym, — niepodobne do określenia.

Wspomnienie przeżytej chwili szczęścia tak żywe, że przeszłość zdaje się być teraźniejszością; postać kochanki, zaklęta marzeniem, tak zda się rzeczywista, że kochanek poeta zwraca się do wywołanego wyobraźnią białego widma i przeżywa bezpośrednio przeszłość w teraźniejszości, aby z niej snuć tęczową nić przyszłości. Kochanka — zwycięża poeta, którego odrywają od ziemi alabastry śniegów, tęczowe migoty Jungfrau, jeleń i orły i chmury, a w razie ewentualnego nieszczęścia dająca mu szczęście wiara ludzi:

. . . że nas wzięły duchy
I gdzieś w niebieskie uniosły lazury,
Żeśmy się za gwiazd chwycili łańcuchy
I ulecieli z Pelejad gromadą, (w. 177—180)

szczęście, idące z przeświadczenia zupełnego z ludźmi rozbratu.

Lecz wraca smutna świadomość przeszłości, a z nią uczuciowa i artystyczna muzyka wspomnienia i marzenia, której zasadniczym tonem: szczęście i piękno. A głównie piękno, tak ogromne, że:

... tego nawet śpiącym nie odsłonić,
Ani pokazać, ani zawrzeć w słowie... (w. 194—195)

Szalet w parowie zmienił się w pełną róż i słowików świątynię miłości, chronioną dotąd od pokus białemi skrzydłami anioła stróża...

Ale namiętny czar przyrody tak był silny, że pewnego razu »rankiem — pod kaskadą«, podczas czytania książki pełnej łez, kochanek poeta, choć »nie wie dotąd, jak się wszystko stało«, porwał w ramiona kochankę i począł usta różane całować. Zatrzepotało zlęknione serce dziewczyny, jak serce złapanego ptaka, ale poddało się słodkiej pieszczocie.

Wtem nagle — w jasnej kaskady warkoczach
Coś pomięszało się i coś urzekło. (w. 216—217)

Na rozpalone twarze rzucił wiatr »całe wodne piekło« i różany czar zmysłów prysnął...

Samotność we dwoje, dotąd tak słodka i szczęśliwa, zaczynała ciężyć. Dziewczyna stawała się:

Smutniejsza, cichsza i bielsza i bladsza (w. 222)
I jaskółeczek utraciła zwinność. (w. 233)

Niepokój duszy dziecka-kobiety, które czując nadchodzącą burzę, drży i chce się przed nią obronić, wymalowany kilku rysami i barwami twarzy i wyrażającemi niepewność ruchami rąk i głowy z niezwykłą

prawdą psychologiczną, podobnie jak głęboko prawdziwem, w nieporównanie delikatną a ważką symbolikę ujętem — obudzenie się niezupełnie jeszcze skoncentrowanej erotycznej świadomości mężczyzny, który zobaczył, że »lilijowa wnet łodyga pękła«,

A jam rozważać zaczął z twarzą bladą,
Jak ten kwiat kruchy, jak ty jesteś zwinna. (w. 255—6)

Pocałunek, chociaż niewinny, rozpalił zmysły kochanki. Poczęła »płonąć«, nie wiedząc — że płonie«. Żar rozbudzonej krwi różowił i w coraz szybszy ruch wprawiał liljową falę dziewiczych piersi, a od ich żaru poczęły więdnąć turkusy bławatów i szafiry oczu stawały się większe i głębsze...

Błyskawice nieopanowanych świadomością pragnień zapalały się raz po raz fosforycznemi zygzakami niejasnych przeczuć, które niewinność starała się ściszyć i zgasić »rozżaloną« skargą, szeptaną gwiazdom i kwiatom... Lecz »lilijowa wnet łodyga pękła«, bo »burza była gromami czerwona I w grocie z kaskad kryształu zasłona«.

Delikatność malarsko-muzycznego odtworzenia burzy zmysłów — właściwa Słowackiemu, który jeszcze z Paryża pisze do matki dnia 30 lipca 1832 r.: »Dzięki ci, Boże, żem się nie wyzuł z dziecinnego wstydu, że nie jestem rozwiązły«. Wspomnienie tego przełomowego faktu, ujęte w formę pełnego żalu pytania, czy kochanka, która »z tych była, co się skarżą matkom«, skarży się teraz aniołom niebieskim? »O nie mów ty tak aniołom, niebieska«, szepta poeta pełen żalu, bo twoja piękność i twoja łza »jednemu będzie z tych

jasnych pożarem«, boś ty piękniejsza i droższa niż gwiazdy i niebo, bo twoja piękność to pokuszenie nawet nad siły anielskie.

Cudowna pieśń rozkochanych oczu i ust przerwana!

Wychodzą oboje z groty cisi, jak wychodzili z raju Adam i Ewa, i kochanka dziwi się, że świat ten sam i taki sam, jak przedtem. Sądziła, że jeśli w niej zaszła zmiana, i świat zmienić się musiał; że kiedy zgasły w niej blaski spokoju i zwiędły lilje niewinności — i światło słońca zgaśnie i róże uwiędną... podobnie jak sądzi człowiek po stracie kogoś bardzo drogiego, że cały świat się zawali. »Zdziwił« ją nieodparty, naturalny bieg życia, więc poczęła uciekać od świata i od siebie, a zobaczywszy »w krysztale jeziora« »przeźroczystą białość« swojej twarzy, okryła się włosami jak płaszczem i już wzroku podnieść nie mogła.

Uczuła żal do kochanka. Ale po burzy — słońce zapala się znowu, po chwilach bólu przychodzi rezygnacja.

W godzinie ciszy i cudu w przyrodzie, którą oboje odczuwają każdem włókienkiem duszy, zwłaszcza jeśli nie idą nowe chmury i nowe cierpienia, serca

. . . jeśli coś mają przebaczyć — przebaczą;
eżeli o czem zapomnieć — zapomną (w. 326—7)

i znowu białe i ciche poczną się modlić...

W jednej z takich chwil względnego spokoju roztrzepotał się na górach, jak srebrny śpiew skowronka w błękitach, dźwięk kościelnego dzwonu. Rzekła więc:

Chodźmy do staruszka celi
Może rozgrzeszy, może rozweseli,
Dłonie nam zwiąże i kochać ośmieli. (w. 323—5)

Wstydząc się zaś już nawet kwiatów, zamknęła wszystkie okiennice, i poczęła się ubierać w mrokach »sosnowej chaty«. Wyszła, »ustroiwszy się jak gór dziewice«, w całym przepychu i dziewiczej świeżości ust i oczu, tak cudna, że w poecie krew zagrała znowu.

Podniecona pięknem fizycznem wyobraźnia, zaczęła tworzyć nowe obrazy szczęścia. Lecz jako w życiu Słowackiego przeczucie odgrywało dużą bardzo rolę i prawie zawsze sprawdzało się, tak, że poeta pisze do matki z Paryża dnia 4 października 1832 r.: »Od tego czasu wierzę więc w przeczucia...«, przeto i teraz, gdy »z góry spojrzał w dolinę«,

Szalet się oku wydawał jak trumna...

Szedł więc posępny i drżący do cichej celi pustelnika, już zupełnie pewny, że szczęście jego było snem...

Ostatnie chwile zatarły się w pamięci; poeta pamięta tylko to, co było najstraszniejsze: krwawy refleks zachodzącego słońca, który rzucał się na spokojną, cichą twarz Chrystusa i na martwiejącą powoli twarz kochanki...

Zachodziło słońce i gasło szczęście poety!...

Rytmika dwu ostatnich wierszy XVII ustępu — niezrównana. Wieje z nich istotnie zimno lodu bolesnego wspomnienia: strasznego ślubu kochanki ze Śmiercią...

I odtąd wszystko mu ją przypomina. Smutni, bo ona im była siostrą i panią, świadkowie przeżywanych przezeń chwil szczęścia: »gaje! doliny! łąki i strumienie!« mogą go o nią pytać, jak pytać będą ojca zadżumionych »pomarańcza dzika« i te »błękitne na Libanie chmurki«; — i cóż on im odpowie, kiedy

Są łzy, co mówić na zawsze zabronią.

A kiedy mówić zacznie, bolesne zamyślenie maluje mu każdy szczegół, każde wrażenie fizyczne i każdą barwę uczuciową tak wyraźnie, że poeta nie wie »gdzie iść? i gdzie oczy schować? I gdzie łzy ukryć? i gdzie być samotnym?« W noc zwłaszcza srebrną, gdy się rozpłacze fontanna, gdy się rozjęczą słowiki i poczną »mówić o niej«, smutny kochanek z rozpaczą modli się o śmierć.

Od bólu uciec nie może, bo on z nim pójdzie »za morze — i wszędzie«, więc chciałby tylko wybrać »miejsce na smutek łaskawe«, gdzie »księżyc przyjdzie aż pod ławę«

I załoskocze tak duszę tajemnie,

że, jako dusza Anhellego, odejdzie po »onym słupie światłości księżycowej« w zaświaty. Czekał bowiem, jak Anhelli, tego wichru, »który go z ziemi zwieje i zaniesie w krainę cichą...«

2

»OJCIEC ZADŻUMIONYCH«

Zrozumienie poematu nie nastręcza żadnych trudności. Jest to najbardziej bezosobisty z poematów Słowackiego, przeto nie potrzeba szukać klucza, mającego wytłumaczyć tę czy ową zagadkę.

Stosunek Słowackiego do materjału, z którego miało powstać dzieło sztuki, nie zaznacza się w żadnym z poematów tak wyraźnie jako przedewszystkiem stosunek artysty-poety.

O bezwzględnej przedmiotowości nie może być

mowy w żadnym wogóle wypadku, sam wybór przedmiotu bowiem, chociażby on sam narodził się i rozwijał poza granicami duszy poety, pozwala w nią spojrzeć i pewne jej cechy uchwycić. Wszelki zresztą akt twórczy dokonywa się w człowieku i przez człowieka, który surowy materjał, wzięty z najdalszych stron i sfer, naświetla i rozgrzewa światłem swojego mózgu i ciepłem swojego serca. Jedna i ta sama scena, wypadek czy obraz, jakże inaczej wygląda w opowiadaniu różnych indywidualności. Inaczej przedstawi je Mickiewicz, inaczej Słowacki.

Tem bardziej zaś nie może być mowy o bezwzględnej przedmiotowości u Słowackiego, którego ruchliwy i zmienny świat zjawisk »realnych« najzupełniej nie obchodził; który starał się zawsze uchwycić »duszę« zjawiska i który »oceniać chciał świat, aby się sam ocenić«, aby zrozumieć, uświadomić sobie, znaleźć klucz do własnej duszy. Bohaterowie przeważnej części utworów Słowackiego i ich wzajemne ze sobą stosunki, to już nie prawdy, a choćby tylko możliwości objektywnej prawdy historyczno-psychologicznej, ale zgoła — żywe coprawda — uosobienia jego myślowych procesów, czy jego uczuciowych zachwytów i rozmodleń.

Poznanie poety z *Ojca zadżumionych*—dosyć łatwe. Ułatwia je zaś sam Słowacki dołączoną do poematu przedmową. »Historja jego (Araba) boleści nie jest całkowicie zmyślona«, powiada. Uzupełnia więc opowiadanie Dra Steble Anhelli-Słowacki, w którego »smutne i zamyślone o kraju serce zaczęło wchodzić powoli przerażenie...« w namiocie »oddalonym od ludzi«: Anhelli, myślący, że już przyszedł wicher, który go z ziemi

zwieje i zaniesie w krainę cichą...« Opowiada je człowiek, który przymusowy swój pobyt w kwarantannie nazywa »snem tajemniczym życia« — i któremu lilje białe powtarzały słowa Chrystusa, mówione do uczniów: »aby się nie troszczyli o jutro i o rzeczy z tego świata«.

Dzieło sztuki tworzył jednak Słowacki-poeta, którego rozmysł artystyczny czynny był bez przerwy.

Nastroje poety tak zgodne z nastrojami Araba, że to wzajemne ich przenikanie i uzupełnianie się — to jeden jęk i jedna myśl. A w całej tej potężnej pieśni bólu wszechludzkiego ani jednego fałszu psychologicznego, ani jednego — »literaturą« będącego wyrazu artystycznego.

Genjalność utworu objawia się w niezrównanem odtworzeniu bólu Araba w całej jego prawdzie i otchłannej głębi, oraz w arcymistrzostwie artyzmu, który proste opowiadanie doktora zrobił obrazem, rzeźbą i muzyką.

Istotnie: jest to »najpełniejsze wcielenie bólu«. »dające mu wyższość nad Niobą, nad Ugolinem, nad Laokoonem« (Kleiner) — przez uchwycenie najbardziej typowych jego wyrazów i przez oddanie ich zapomocą środków artystycznych genjalnie prostych a pięknych. I nie wiedzieć — co bardziej podziwiać. Odczuć go musi każdy, jeśli ma duszę cokolwiek wrażliwą, esteta zaś i psycholog ma za zadanie uświadomić tylko, dlaczego poemat budzi podobne uczucia, i pokazać wielkość i piękno artystycznych srodków, jakich użył poeta.

O ile zaś wiele innych utworów Słowackiego wywoływało czasem zdania wprost przeciwne, ten trafił odrazu do serc. Klasyczna linja tego posągu boleści,

oraz prosty i naturalny, a wolny od wszelkiej teatralności i afektacji głos złamanego nieszczęściem ojca zniewolił wszystkich. Poemat jest istotnie arcydziełem, stworzonem w tak wyjątkowo spotykanej w życiu poety chwili spokoju, w momencie cudnej harmonji wszystkich władz twórczych. Uciszył się i wyolbrzymił człowiek i artysta w »tym cichym tygodniu życia« i dał »historję boleści« nieszczęśliwego starca, która »nie jest całkowicie zmyśloną«. Odczuło ją serce człowieka, dziełem zaś sztuki zrobił poeta.

Jak poemat *W Szwajcarji*, tak i ten rozpoczyna się jakby olbrzymiem westchnieniem zbolałego serca, mieszczącem w sobie wszystkie wylane łzy, wszystkie zawiedzione nadzieje i tę palącą świadomość samotnego powrotu, po przeżyciu »trzy razy wieków czterdzieści«

Odkąd do mego płóciennego dworu
W tej kwarantannie wszedł anioł pomoru. (w. 19—20)

A potem rozsypuje się krwawy różaniec poszczególnych scen bolesnych, którego rozpalone paciorki nizał Allah Akbar, Allah wielki...

Zrazu słoneczny, pełen cudownego wdzięku, kilku zaledwie rysami wymalowany obraz szczęścia rodzinnego — w tym artystycznym celu, ażeby niespodziewany piorun losu rozhuczał się tem potężniej.

Śmierć — nagła jak błyskawica, po niej ozwał się krzyk bólu i wściekłości ojca, który widząc, że »nie czas już było ratować«, staje do walki ze Śmiercią. Ale to wróg podstępny: skrada się cicho, tak cicho, że nawet czuwający ojciec i matka nie usłyszą kroków, — i zabiwszy — równie cicho odchodzi.

Uczuciowa reakcja z powodu dwu tych śmierci

i wyraz jej słowny następujące: Po śmierci pierwszej — ból opanowany męskiem postanowieniem zastosowania środków obrony; po drugiej — pełne głuchej rezygnacji, bolesne stwierdzenie faktu:

I porzuciły nas, i bez powrotu —

i psychologicznie tak prawdziwe zapamiętanie drobiazgu:

Włosami ziemię zamiotły rodzicom.

Jeszcze więc równowaga duchowa możliwie utrzymana, ale już oczy poczęła zasuwać mgła łez, które nie spadną, jeno tak zamroczą wzrok:

Że słońce słońcu nierówne złotemu —

i niebo przesłonią chmurami,

Że nie wiedziałem czy pacierz doleci
Do Pana Boga, co się zakrył chmurą.

»I tak dni dziesięć przeszło...« A choć dłużyła je obawa rodziców o pozostałe dzieci, nieszczęśliwy ojciec za każdy dzień, który upłynął, dziękował litościwemu Bogu i zaczynał wierzyć w szczęście.

Uciszyły się nieco serca rodziców; »była to więc piekielna godzina«, kiedy wyostrzony wzrok ojca, który wyjątkową obawą i miłością osłaniał najmłodszego syna, zobaczył na jego twarzy zrazu maleńki, ledwie widoczny znak straszliwych pocałunków Śmierci... Łamiąca się zwolna energja duchowa objawiła się już łamaniem rąk i tak boleśnie prawdziwym krzykiem:

Oby nie umarł! lub był się nie rodził! —

podobnym do tego krzyku Kochanowskiego z XIII-go *Trenu*, a rozszlochane serce nie mogło zrozumieć obojętności przyrody, podobnie jak nie mogła zrozumieć

naturalnego biegu zjawisk świata »bohaterka« *W Szwajcarji*, kiedy wyszła z groty »posępnej i ciemnej«.

Ból doprowadzony — zda się — do ostateczności, przerodził się na chwilę w obojętność »na boleści świeże«, w to tak prawdziwe i straszne: »wszystko mi jedno!« Więc już bez łez i bez najmniejszego skurczu serca patrzał na męki średniego, najmniej kochanego, syna. Ta nowa przeto klęska, poniesiona w walce ze Śmiercią, nie wywołała żadnej uczuciowej reakcji i zdawała się nie być triumfem Śmierci. Odniosła jednak triumf marmurowym spokojem konającego i okropnym dla rodziców wyrokiem jego zastygłych w straszliwy grymas lic, aby w koronie męki nie brakowało ani jednego ciernia. Obojętność zresztą była tylko pozorną. Została mu bowiem jego najmilsza Hatfe, która »wszystkie opłakała ciosy« i była domowi całemu »jak jaśni anieli obrońce«. Więc patrzał na nią przez łzy i drżał.

Dziesięć dni przeszło, dziesięć nocy drugich
Przeszło...
Po dzieciach ustał wielki płacz niewieści
I naliczyliśmy ranków trzydzieści.

Słodka nadzieja położyła na umęczone oczy ojca aksamitną dłoń kwiatu, że »zbył pamięci i mocy«. Złośliwa jednak Śmierć dała źrenicom palącą ostrość pozaświatowych widzeń, na chwilę złudne — przeczucie przyszłych przerażeń... Na chwilę złudne, bo

I te mi dziecko sroga śmierć wydarła!...

Ażeby wzburzyć najgłębsze fale duszy, rozkrzyczała strachem i bólem ofiarę, ażeby ojciec zobaczył zupełną swoją bezsilność. Więc mu się »serce rozdarło na

ćwierci« i poczęło bluzgać krwią... Nie dosyć: ci, którzy zapłakali nad nim, rozdarli hakiem białą pierś dziewczęcia, aby się ojcu zdawało, że to jej śmierć druga.

Rwały się ostatnie węzły życia, więc pełna słońca pustynia wydała się oczom — purpurową »równiną piekielną«; majestatyczna muzyka szumiącego morza — wyciem i płaczem, wielbiona zaś wielkość Boga — straszną wielkością pożaru, trzęsienia ziemi i zarazy!

Płótna namiotu, o które niedawno uderzał srebrny głos życia, sczerniałe na rosie

Były jak próchna z ludzkich trumien zdjęte —

i stały się postrachem dla ludzi i ptaków. W podartym domu śmierci pozostali tylko rodzice, ostatnie maleństwo i triumfująca bezlitosna Śmierć...

Triumfuje równie poeta, którego artyzm dosięgnął szczytów w stopniowaniu wrażenia.

Zapewne: burza, szalejąca w pięć dni po śmierci córki, to »odbity« obraz rzeczywistej burzy, której skutków poeta sam doświadczył, ale zarazem niezrównany środek artystyczny, wyrażający się w tym, tak prawdziwym psychologicznie, błysku rozpalonej myśli Araba:

Jak moim dzieciom takiej nocy w grobie?

a nadto użyty w tym celu, ażeby cichy płacz dziecięcia był uszom ojca głośniejszym niż grom...

W podartym domu śmierci zostali już tylko rodzice i bezlitosna, triumfująca Śmierć, która »zamiast — ich — połączyć«

Zaczęła jakieś jady w serca sączyć...

czyniąc towarzyszy niedoli — wrogami.

Skończył się ostatni akt tragedji i kurtyna zapadła

na dni 40-ci, po których przeznaczenie napisało epilog: ostatnią śmierć — żony. Arab pozostał sam. A jako przedtem stronili od niego ludzie i ptaki, teraz uciekał od nich on, żyjąc tylko złudzeniem i bólem wspomnień »z grobowym tłumem«. Mijały tygodnie całe

Bez żadnych bolów, pamiątek, omamień —

tygodnie zupełnej martwoty, z której zbudziła myśl i serce zaglądająca w namiot głowa wielbłąda...

Ożyło serce, ażeby cierpieć, i zbudziła się myśl, ażeby cierpienie rozpamiętywać...

Po raz pierwszy w twórczości Słowackiego prawda życia i poezja odtwarzająca ją zapomocą sobie właściwych środków zespoliły się tak harmonijnie i tak cudownie. I po raz pierwszy słowo, chociażby najpiękniejsze, nie objęło władztwa nad myślą. Niema jednego słowa, któreby można usunąć czy zastąpić innem, niema ani na chwilę rozdźwięku pomiędzy niem a życiem, które wyraża. Stworzyło ten poemat serce człowieka, któremu »żal ludzi«, i niepokalany artyzm poety!

3

»*WACŁAW*«

Jeśli się czyta poemat ten bezpośrednio po dwu pierwszych, mając w duszy tę wysoką miarę sądu, do której same ją podniosły, to istotnie sąd o układzie *Wacława*, t. j. o całości poematu, musi być, w stosunku do tamtych, surowszym. Poemat w zupełności zadowolić nie może. Zdanie Słowackiego: »Może kilka strof

spowiedzi Wacława wyjednają mi... i t. d.« nie jest zwrotem retorycznym, ale pięknym wyrazem samokrytyki. *Spowiedź Wacława* — to naprawdę »westchnienia i dźwięki«, dobyte z »zapalonej harfy«, jaką Eoljonowi przyniosły »duchy powietrzne«; nie można jednak powiedzieć tego o wielu ustępach.

Rozbiór poematu wykaże kilka niejasności, pewne niezdecydowanie poety w »ześrodkowaniu« artystycznem, niewyzyskanie wprowadzonych motywów i jakgdyby pierwszy i nierozwinięty odpowiednio pomysł twórczy. Mimo wszystko jednak słusznem jest zdanie Chmielowskiego [1] i Tarnowskiego, którzy umieli odczuć i pokazać piękno, chociaż widzieli wady.

Wacław jest dalszym ciągiem *Marji* Malczewskiego, »charakter — zaś jego bohatera — przejęty z ręki konającego Malczewskiego, dociągniony, dorysowany, domalowany, jak na wielkiego mistrza wypada«, jak się wyraził Krasiński. Zależność (częściowa) od poematu Malczewskiego widoczna. Początek — to niemal ta sama kompozycja muzyczna stepu, z tą różnicą, że kiedy u Malczewskiego:

... na obszernych polach rozległe milczenie;

. . . .

Tylko wiatr szumi smutnie, uginając kłosy;
Tylko z mogił westchnienia i tych jęk z pod trawy,
Co śpią na zwiędłych wieńcach swojej starej sławy,

to w poemacie Słowackiego:

Krzyżowe groźby i poselstwa ptaków
Lecą przez krwawe doliny bodjaków;
I czuć w powietrzu, że tu myśli wojna... (w. 11—13)

[1] Arcydzieła polskich i obcych pisarzy. Tom 17, wydanie Westa w Brodach.

Bo choć się skończą rycerstwa i waśnie,
To ziemia mogił tak prędko nie zaśnie. (w. 15—16)

Mogiły biorą udział w życiu rzeczywistem, uczuciowo, a czasem nawet »czynnie«, jak świadczy ustęp XXXV:

Z każdej mogiły ognista kolumna
Wytryska w niebo, gdy nadchodzi trumna. (w. 960—961)

A chociaż cisza na niebie,

W ziemi grobowej głucha trupów wrzawa. (w. 966)

»W jej sercu wolność się odzywa«, a duszę porywa żal za Pułaskim i Sawą i smęci niedające się urzeczywistnić pragnienie oraz tęsknota, aby sprawdziła się »prorocka duma Wernyhory«. »Wszystkie te — zaś — śnicia«, zapowiada poeta, sprawdzą się, jeżeli serce rycerza

Jako lilija będzie we krwi czyste... (w. 37)

i jeżeli każdy rycerz będzie się ważył

Złotym aniołem, w ojczyźnie na straży. (w. 42)

Narazie jest to rzeczą niemożliwą, bo w zamku, dokąd nas poeta prowadzi,

Gorsze niż w grobach — zdradziectwa powietrze! (w. 54)
. . . .
Nigdzie plam tyle od zbrodni w sumnieniach... (w. 67)

serce zaś dawnego jakby »rycerza Solimy«, »anioła stepu«, »miota się jak ptak« w sidłach zgryzoty. W ten sposób łączy poeta dwa pierwsze ustępy z trzecim i następnemi.

Step, który w *Marji* jest zupełnie zamoistną wartością, a nie dekoracją czy tłem, i który tak olbrzymią »gra« w niej rolę, w *Wacławie* jest tylko środkiem technicznym. Muzyczny jego rysunek jest bardzo blady, a nadto nie jest »rysunkiem z natury«.

Zamek Wacława (V), podobnie jak zamek wojewody (IV, V), huczy gwarem ucztujących. Obie te sceny służą jednak do innego celu. U Malczewskiego »dawny obyczaj, wspaniała ochota« i wojewoda »długo niewidziany«, rozmawiający ze synem »bardzo łaskawie«, to szatański plan ojca, chcącego uśpić czujność syna; u Słowackiego — scena uczty wprowadzona dla pokazania, że Wacław przestał być panem zamku; że dawno już, gdy zjawiał się jeszcze w kole biesiadników:

Każdy, co z gości do stołu zasiadał,
Nie znał go prawie... (w. 81—2)

że uciekały przed nim »zalęknione dzieci«, bo

... przerażenie z Boskiego wyroku
Wisiało nad nim jako krwawa tęcza (w. 94—5)

oraz dla zaznaczenia bolesnej świadomości samego Wacława

... że odstręcza,
Że coś pomiędzy nim a światem stoi (w. 96—7),

aby go ostatecznie uczynić samotnym:

Nareszcie uciekł od ludzi i słońca. (w. 109)

Motyw samotnictwa z rozmaitych powodów i w rozmaitych objawach, tak częsty w poezji Słowackiego, a zaznaczony doskonale przez prof. Kleinera, ma swoje źródło w duszy poety, w jego własnem, uświadamianem sobie samotnictwie. Stąd te dygresje, chociaż ich wogóle w *Wacławie* niewiele (np. w. 94—102), jakkolwiek zupełnie ściśle i naturalnie zespolone z psychiką Wacława, dają częściowo obraz duszy samego poety. I on uciekał »od ludzi i słońca« i zamykał się w świecie swoich myśli i marzeń, podobnie jak Wacław z Eoljonem, w którym Chmielowski widział »uosobienie tego

wszystkiego, co jeszcze szlachetnem i poetycznem w zgorzkniałem sercu Wacława zostało, odgłos jego marzeń młodzieńczych, cień bledziutki lepszej części jego duszy«, — »jakby daleki odblask owego smutnego pacholęcia w *Marji*, co jadło świata zatrute kołacze: niewiadomo, czy duch opiekuńczy, czy szatan Wacława«.

Oczywiście jednak Eoljon — to ani jedno, ani drugie Bo chociaż mówi Wacław:

Widziałem moje sny młodości złote,
Zachwyty, miłość, niepokój, tęsknotę,
Wydane dziecka niewinnem obliczem.... (w. 843—845)

ale poeta nie chce w nim widzieć tego, co przypuszcza Chmielowski, tylko robi je »zgryzot zwierciadłem«, jakie przed Wacławem postawiła »jakaś moc grobowa«. Ta jakaś straszliwa, karząca moc, te »jakieś piekielne ręce«, które

... straszne rzeczy czynią dziecka mocą, (w. 146)

tak, że rozsypuje się w proch »ostatnia pomoc, moc dziecka pacierzy«. Jest on narzędziem duchów, zerwaniem ostatnich nici, łączących Wacława ze światem, ciągłą jego bolesną świadomością — czem być mógł, a czem jest.

Jako pomysł poetycki, a nawet jako środek techniczny, mający służyć do rozwoju akcji czy rozświetlania mroków duszy Wacława, postać ta jednak, mimo wszystkie piękności, ani odpowiednio jasna, ani należycie »postawiona«. Zapowiada coś więcej dla tragedji Wacława, aniżeli spełnia, — i robi wrażenie, że jego rola i jego historja nie dosyć jasno przedstawiała się samemu Słowackiemu. Poeta powiada wprawdzie:

Jakieś piekielne mięszają się ręce
I straszne rzeczy czynią dziecka mocą —
I dziś — gdy Wacław zasnął — przed północą...

ale urywając myśl, zdanie — nie pozwala w żaden sposób domyśleć się, co się stało, i czy się wogóle co stało »dziecka mocą«. Rola bowiem jego w stosunku do ojca (XVIII w. 470—485) zgoła inna, a już w ostatnim ustępie — zasadniczo różna. Pomysł zresztą, jak zaznaczono, nieoryginalny, przypominający Orcia z *Nieboskiej Komedji* Krasińskiego, wprowadzony nadto bez zdecydowanego jasno planu. Charakterystyczne, że kiedy skończyła się jego rola jako »błękitnego grzechów spowiednika«, spowiednikiem Wacława stanie się ksiądz. Czy skończyła się rola duchów?

Nawiązanie akcji, urwanej ostatniem zdaniem ustępu VI, zadowolić nie może. Pytanie:

Lecz gdzież jest młoda małżonka? Grafini?

i cały szereg następnych pytań, to środek dawno zużyty i zbyt łatwy. Pytań w ustępie VII wogóle za dużo; wiele z nich musi pozostać bez odpowiedzi, niektóre zaś całkiem niepotrzebne.

Postać grafini także niezdecydowana w rysunku i niejasna w swojej roli. Kiedy poeta zapytuje:

Z jakiem to widmem skandynawskiej Frei
Grafini dzieło zaczyna Medei? (w. 204—205)

sądzimy, że naprawdę zaczyna to dzieło. Tymczasem — kiedy w ogrodzie rozległy się »szmery« i »wrzawa szalona«

Że graf otruty, że cierpi, że kona, (w. 235)

»pani zbladła«, a poeta dodaje, że gdyby kto widział w tej chwili jej oczy,

Tenby ją całkiem miał niepotępioną;
Zepsutą była, niewierną — lecz żoną. (w. 254—255)

Ona zaś sama wyznaje:

O! Antynoe, już czuję zgryzoty,
A przecież śmierci męża jam niewinna... (w. 457—458)

Nie jest więc chyba Medeą. Rolę jej spełnia »polska Hekata«, »wiedźma z piekła«, która przekleństwem żegnała trupa Wacława. Grafini chciała,

... by ta wiedźma z piekła
Czarę miłośnem zaklęciem urzekła, (w. 462—463)

ona zaś zdrajcy przygotowała

Ogień miłośny i ludzkie popioły, (w. 671)

a była może wykonawczynią woli Wernyhory, który — według wierzeń ludu —

Przyszedł się pomścić za Lachów ojczyznę,
I z grobu przyniósł dla pani truciznę. (w. 282—283)

Podejrzywa ją więc lud, a także sam Wacław (XXVIII, w. 702).

Kto więc jest Medeą? Jaką jest rola grafini? »Dawniej niewolnica«, nie ma w sobie nic wielkiego, chociażby w zbrodni, nic zdecydowanego, chyba w tej chwili, gdy jak zwyczajna awanturnica

Brylanty chowa i papiery pali. (w. 443)

A przecie Wacław mówi księdzu:

Lecz od niej gorsze ja rany poniosłem.
Ona zrobiła, że śmierć kraju zniosłem.
Anioł piękności i wróg nieodstępny,
Stała, gdy z hańbą walczyłem posępny.
Com cierpiał w sobie i com czuł — nie czuła,
Co w sercu mojem zmartwychwstało — struła...
(w. 697—701)

Była więc jakimś demonem, pięknym jak bywa czasem grzech podłości... W poemacie jednak jest bezwolnem narzędziem w ręku Greka, który »wydaje rozkazy«, a »ta piękna słucha«

I całuje go w ręce nieszczęśliwa. (w. 449)

Tymczasem ktoś posłał po księdza, który »próżno czeka u grafa podwoi«, bo

Zamknął się Wacław i ludzi się boi
I z małym synkiem sam na sam się pieści. (w. 285—286)

Ostatnia rozmowa ze synem, będąca skargą ojca a płakaniem syna, podsłuchiwana przez tłum służebników, który rozróżnia głos grafa i »głosek serafina«, a czasem słyszy »więcej tam głosów niż dwoje«. Oddawna bowiem szeptano sobie, że Wacław ma jakieś nocne rozmowy z duchami, a raz, w dzień trzeciego maja, widziano jego ucieczkę przed niemi,

Widziano, jak się topił cały blady. (w. 320)

Pędziły go duchy za jego przewiny młodości, chcąc go zabić »krwią albo przestrachem«. Dzisiaj sam się

... chce karać za zbrodnie,
Sam przyzwał piekieł czerwone pochodnie. (w. 334—335)

Ale »dla serca, co się samo dręczy, Widm nie potrzeba«, wyręczy je sumienie Wacława, które wykonywa nad nim sąd nawet we śnie:

... sumnienie Wacława
Nabyło nawet nad uśpionym prawa. (w. 348—349)

Budzi go i każe mu iść »z otwartem okiem« po komnatach zamkowych ku czemuś, co zjawia się z piersią przebitą...

Dawniejszy »anioł, rycerz, człowiek« — po śmierci pierwszej żony i ojca »dziwnie na sercu zmieniony«.

Straciła dlań wartość miłość ojczyzny, a chociaż »nadto w nim miłośnej siły«, on już nie może »nikogo kochać prócz mogiły«, co Wacław podkreśli potem sam w scenie spowiedzi:

Płakałbym może i z cierpień się skarżył,
Alebym kochać już nie mógł, nie ważył. (w. 602—603)

Straszliwa tragedja rodzinna zatruła serce,

A dziś—już koniec! do Wacława gmachu
Weszła posępna królowa przestrachu. (w. 434—435)

»Ogień miłośny i ludzkie popioły« zabiły syna, i Wacław został sam. Ale nim duszę odkryje przed księdzem, po raz ostatni wejdzie w somnambulicznym śnie, z »szmatą skrwawioną na głowie«, do sali, aby przerazić kochanków, aby grafini »czołem upadła«

Przed same nogi groźnego widziadła (w. 495)

i aby Wacław

... cały zadrżał i cały się wzdrygnął
I stanął chwilę we śnie, zadziwiony,
Jakby usłyszał skąd o śmierci żony, (w. 497—499)

lecz »nie obudził się« i poszedł dalej, — czyli: aby historja grafini doszła do końca.

Straszliwy tragizm życia Wacława i okropności jego pałacu podkreśli poeta po raz ostatni »spokojnym wschodem słońca na stepie«, odmalowanym ośmioma zaledwie wierszami, aby przez krótką zapowiedź »mgły śmierci«, mroczącej zamek, i w cztery wiersze zaledwie ujętą dygresję — przejść do spowiedzi Wacława, który »postradawszy« dziecinę,

Już nie zapytał się o nią nikogo. (w. 561)

I zaraz podnosi się nastrój, potężnieje wewnętrzna i ze-

wnętrzna rytmika wiersza. Słowa nawet same nabierają siły i blasku. Poeta opanowuje natchnienie jako świadomy siebie artysta. Poemat staje się znowu (ulubiona w tym czasie forma!) przeważnie wspomnieniem, przeżywaniem przez Wacława pamięcią tego, co było treścią jego tragicznego życia.

Wielkość człowieka, którego duszę zwichnęły splątane w jakiś piekielny kłąb wypadki życia, którego duma rodowa i duma człowieka nie pozwoliła »ważyć — ich — na szali« rozumu i kazała samemu stanąć »przeciwko narodu«; świadomość wreszcie, że winą jego — to »większe serce«, jakie miał »w sobie do nakarmienia«, serce »niepodłe«, choć winne, wymalowane z niedającą się w niczem zaczepić prawdą psychologiczną i muzyką słowa największych mistrzów Zdumiewa olbrzymia skala tonów od:

Nie uniewinniam ja siebie, o księże!

t. j. od tej palącej świadomości, że się jest winnym — mimo wszystko, — że się nawet nie próbowało naprawić błędu (w. 925—926), poprzez szukanie i stwierdzenie powodów — poza człowiekiem leżących (»większe serce«, Bóg czy Los, ludzie, naród), przez pełną łez »burzę« żalu, że nie mógł być jednym z tych »czystych nieznanych«, których dusze«, gdy umrą, »lecą przed narodem«, — do chęci zatarcia i zniszczenia śladów po sobie i tego załamania się duszy w bolesnym krzyku:

O, czemu ja też dzieckiem nie umarłem!

Zarzutów niepodobna robić prawie żadnych, niektóre

zaś ustępy, zwłaszcza w XXVIII, XXIX i XXX — to godne *W Szwajcarji* i *Ojca zadżumionych* arcydzieła.

Poemat kończy się »pogrzebem możnego pana w Ukrainie« i przekleństwem zdrajcy. Zjawa bowiem Eoljona, który wśród pieśni »zapalonej harfy« ulatuje z »białymi słuchaczami« w »niebieskie krainy«, z »historją boleści« Wacława nie ma nic wspólnego.

Poemat powstał we Florencji, a nastrój jego wewnętrzny i właściwości językowo-stylowe łączą go wyraźnie z utworem tych czasów *Poema Piasta Dantyszka o piekle*, oraz (do pewnego stopnia tylko) z *Boską Komedją* Dantego. Bardzo sumienne zestawienia, znajdujące się w monografji prof. Kleinera o Słowackim, stwierdzają to istotnie, tak, że czas powstania poematu nie ulega kwestji. Prof. Tretiak i Kleiner omówili też dostatecznie wyczerpująco powód zajęcia się Słowackiego poematem Malczewskiego. Poeta zaś sam w krótkiej przedmowie zaznacza między innemi powodami »zmuszającemi go do napisania poematu« to, że chciał »zidealizować rzecz pełną czarnych mętów i okropności...« To jednak, co się »dzieje« w poemacie Słowackiego, jest tak »pełne czarnych mętów i okropności«, iż słuszna jest uwaga prof. Kleinera: »wysiłek energji twórczej ma na celu wydobycie niesamowitości«. A jest to »niesamowitość« psychologiczna osób, biorących udział w »akcji«, zwłaszcza samego Wacława, oraz »niesamowitość« sytuacyj, w których poeta każe im się znaleźć. »Idealizuje« poeta »rzecz pełną czarnych mętów i okropności« spowiedzią Wacława, która pokazuje duszę, mającą wszelkie znamiona niemogącej się rozwinąć wielkości, oraz wszelkie, zniszczone wcze-

śnie, możliwości, aby się stała »aniołem stepu Pod błękitami niebieskiego sklepu«, — w której się jednak wskutek przedziwnych »chemicznych« wpływów losu »krew zaczerniła sławna«.

Znika anielska eteryczność *W Szwajcarji* znika »klasyczna« posągowość i artystyczny umiar *Ojca zadżumionych*, a zjawia się dawna, *Lambra* chociażby tylko przypominająca sztuczność, pełna fosforycznych skrzeń niepotrzebnie nagromadzonych »okropności«, które czasami nie znajdują żadnego usprawiedliwienia.

Jakże daleki też jest pod każdym względem poemat Słowackiego od poematu Malczewskiego, który go wywołał. Arcydziełem *Wacława* nazwać nie można, a zastanawia niezwykła skąpość obrazów przyrody, które mogły mu dodać blasku i wartości. Znikła zadziwiająca harmonja i jasność dwu pierwszych poematów, a miejsce ich zajęła przesadna czasem »okropność« niektórych scen i obrazów. Rzecz jasna, że Słowackiemu chodziło o »niezwykłą« duszę Wacława, ale ta »niezwykłość« nie pozwoliła zatrzymać się na tej granicy, do której sięga sztuka, a za którą zaczyna się sztuczność.

BIBLJOGRAFJA

A. Mazanowski, *Ojciec zadżumionych* J. Słowackiego i *Treny* J. Kochanowskiego (Sprawozd. gimn. IV we Lwowie, 1892).

F. Hoesick, *Anhelli* i *Trzy poematy*. Kraków 1895.

K. Jarecki, Juljusz Słowacki i poemat *W Szwajcarji*. Bibljoteka Warszawska, 1901, t. II.

P. Chmielowski, *Trzy poemata*. Wyd. Westa, Brody 1903.

J. Tretiak, Juljusz Słowacki. Historja ducha poety, t. I. Kraków 1904.

I. Matuszewski, Wzniosłość u Słowackiego (Twórczość i Twórcy, Warszawa 1904).

T. Dąbrowski, Rodowód Heljona (Pam. liter. 1906).

T. Sinko, Hellenizm Juljusza Słowackiego. Kraków 1909.

I. Matuszewski, Słowacki i nowa sztuka. Warszawa 1910.

St. Windakiewicz, Badania źródłowe nad twórczością Słowackiego. Kraków 1910.

T. Mikułowski, O *Wacławie* (Sprawozd. filji gimn. św. Jacka w Krakowie, 1914).

B. Nawroczyński, Piękno i ból w *Ojcu zadżumionych* i innych poematach bólu rodzicielskiego (Sprawozd. Warsz. Tow. Nauk., Wydz. I i II, 1915, zeszyt 7).

J. Kleiner, Juljusz Słowacki. Dzieje twórczości, t. II. 1920.

S. Baley, Uwagi psychologiczne o genezie poematu Słowackiego *W Szwajcarji* (Przegl. filozoficzny, zeszyt 1 i 2. Warszawa 1921).

Podaję rzeczy najważniejsze. W dziele K. Jareckiego i J. Kleinera znajdzie czytelnik wymienione wszystkie najdrobniejsze prace.

OJCIEC ZADŻUMIONYCH

W EL-ARISH

Dla objaśnienia następnego poematu, potrzeba mi nieodbicie powiedziéć kilka słów o kwarantannie na pustyni między Egiptem a Palestyną, blisko miasteczka El-Arish. Wymysłem to jest dziwnym Mohameda Ali, że między dwóma swojemi państwami naznaczył myślą na błędnym piasku granicę, i pod karą miecza zmusił wolne beduiny rozbijać w tém miejscu namioty i żyć przez dni kilkanaście pod dozorem straży i doktora; inaczéj zaś z Egiptu do Syrji dostać się nie mogą. Podróżując na wielbłądzie, musiałem podobnemu ulec losowi. Po ośmiu dniach drogi, przybyłem z Kairu na smutną dolinę piaszczystą, abym na niéj przez dni dwanaście zamięszkał. Zrazu pojąć nie mogłem, jak miejsce puste, bez żadnego domu, błędnym piaskiem zawiane, mogło prawu ludzkiemu podlegać; ale miecz Baszy zdawał się wisieć w błękitném niebie, nad głową moich przewodników Arabów, bo przybywszy na dolinę kwarantanny, kazali zaraz uklęknąć wielbłądom, a w twarzach ich czarnych widać było głębokie poddanie się ludzi wolnych pod prawo strasz-

---

w. 2: *kwarantanna* (z franc. *quarantaine*), nazwa pewnego okresu czasu, a także miejsca, w którem obserwuje się ludzi przybywających z miejsc dotkniętych zarazą.

w. 4: *El-Arish*, miasteczko nad obszernem łożyskiem potoku tego nazwiska, stanowiące punkt graniczny między Egiptem a Syrją. Po opanowaniu Egiptu, zdobył je Bonaparte. El-Arish pozostawało w rękach francuskich do r. 1799. (Patrz *Listy do matki* II, 38 i 61).

— *Mohamed Ali* wicekról Egiptu, † 1849.

w. 12: *Kair* (el Kahira), główne miasto w Egipcie nad Nilem, założone w r. 640 po Chr.

w. 16: *Basza* lub Pasza — wielkorządca lub namiestnik prowincji w Turcji lub Persji.

nego człowieka. Przybył doktor z miasteczka El-Arish; pierwsze to było miasteczko, które od wyjazdu z Kairu obaczyłem zdaleka, a doktor pierwszym napotkanym człowiekiem. Pan Steble, tak się nazywał ów lekarz, emigrant włoski, ożeniony świeżo z panną Malagamba, sławną pięknością na Wschodzie, o której Lamartine z takiém uniesieniem rozpowiada, starał się natychmiast mój pobyt pod otwartém niebem jak najwygodniejszym uczynić; wydał ze składu kilka namiotów dla naszéj podróżnéj gromadki; a jak się późniéj dowiedziałem, rączki jego żony grzęzły w białéj i srebrzystéj mące, aby mi na chlebie europejskim nie zabrakło. Rozłożywszy się pod namiotem, przywykać zacząłem do smutnego widoku, który mnie otaczał. Opodal nieco rzeczka, sucha prawie aż do dna, przerzynała piasku dolinę, i szła do morza, za nią szara wstęga palmowych lasów; od północy błękitna szarfa morza Śródziemnego roztrącała się o piasek i smutnym gwarem fal napełniała ciche nad pustynią powietrze; nad morzem zaś, na piramidalnéj piasku mogile, błyszczał białą kopułą mały grobowiec Szecha, straszny, albowiem tam w jego lochach składano umarłych z dżumy; a zaś architektura jego i żółtawa białość nadawały mu pozór kościotrupa. Z innych stron wzgórza piaskowe i na nich straży namioty, i patrzący na kwarantannę strażnicy w jaskrawych orjentalnych ubiorach; w środku zaś doliny niby stożec piaskowy, z którego muezin obwoływał donośnym

---

w. 27: *panna Malagamba*, córka wicekonsula Syrji i małżonka lekarza Steble, emigranta włoskiego, z El-Arish. Lamartine pod datą 15/X 1832 roku (*Voyages en Orient*, Bruksela 1836 r., str. 105) z uniesieniem o niej rozpowiada: »Aucun poète n'a jamais dépeint une si ravissante apparition. L'Haïdée de lord Byron, dans *Don Juan*, a quelque chose de Mlle Malagamba, mais elle est loin encore de cette perfection, de grâce, d'innocence, de douce confusion, de voluptueuse langueur et d'éclatante sérénité, qui se confondent dans ces traits encore enfantins« (p. *Listy* II, 45, objaśnienie Meyeta i List do matki z Liworno z 11/VII 1837 r.).

w. 28: *Lamartine*, sławny poeta, historyk i minister franc. (1790—1869).

w. 43: *grobowiec Szecha* — kapłana mahometańskiego.

głosem wielkość Boga rano, wieczorem i w nocy. Wszystkie te obrazy czytelnik drugi raz odbite znajdzie w następującéj powieści; a pokażą się mu we właściwszém świetle, albowiem je zobaczy przez łzy ludzkie. Co do mnie, przywykać zacząłem do mego namiotu i podobałem sobie w ciszy piaskowego stepu i w szumie morza, do którego brzegów pozwalano mi chodzić, wziąwszy z sobą jednego z kwarantanny strażników. W wigiliją Bożego Narodzenia (1836 r.), kiedy z téj spokojnéj pustyni myśli moje odbiegły aż do dalekiéj ojczyzny mojéj, i ku owym dniom, które dawniéj spędzałem na ucztach w gronie rodzinnem: okropna burza, przewiewana wichrem z morza Czerwonego na Śródziemne, gruchnęła w nocy i polała się deszczem piorunów na mój namiot, oddalony od ludzi. W smutne i zamyślone o kraju serce, zaczęło wchodzić powoli przerażenie... Szeleszczący od wichrów i deszczu namiot chwiał się nademną, i zaczerwieniony od piorunów, wydawał się ognistym i strzegącym łoża bezsennego cherubinem... Wicher mi zagasił światło, a wilgotny knot na nowo zapalić się nie chciał. Próżne tu byłyby opisy; albowiem wielkością biblijną nacechowana była ta burza w pustyni — Anhelli myślał, że już przyszedł wicher, który go z ziemi zwieje i zaniesie w krainę cichą — przeszła jednak ta bezsenna noc zgrozy, a gdy nad rankiem wyszedłem z namiotu, chmury żelazne okrywały niebo i drobny

w. 66—67: *W smutne i zamyślone o kraju serce, zaczęło wchodzić powoli przerażenie...* — To zdanie kazało prawdopodobnie Szujskiemu doszukiwać się w *Ojcu zadżumionych* »symbolu nieszczęść narodowych«.

w. 74: *Anhelli myślał, że już przyszedł wicher...* Poeta utożsamia siebie z Anhellim, którego duch »ujrzawszy się wolnym, poszedł na wodę... i po słupie światłości księżycowej odchodził na południe«. Jak Anhelli bowiem i jak »bohater« poematu *W Szwajcarji*, patrzył »w lecące po niebie łabędzie«, by tam poleciec, »gdzie one polecą«; i spodziewał się, że może księżyc, »idąc po fali... zaszeleści złotem, I załoskocze tak duszę tajemnie, e stęskni — ocknie się i wyjdzie ze mnie«. Dusza jego bowiem, jak dusza Anhellego, »bohatera« w *W Szwajcarji* i Eoljona, ulatywała zawsze, obca ziemi, »w niebo gwiaździste«.

deszczyk zasmucał powietrze. Ale nie tu był koniec przestrachów; krzyk Arabów uwiadomił mnie o nowem niebezpieczeństwie: owa rzeczka, gdzie wczora zaledwo nitka wody sączyła się po piaskowem korycie, nabrzmiała nocną ulewą, i srebrnemi płetwami prosto biegła roztoczyć się po dolinie, na której stały nasze namioty; zaledwo kilka chwil czasu zostawało do ratunku; unieśliśmy za pomocą Arabów namioty nasze na najbliższe wzgórze piaskowe, a zaraz po nas przyszła woda napełnić owe kręgi piaskowe, które jako ślady naszych zerwanych domów zostały w dolinie. Zziębły i ponury patrzałem ze wzgórza ną tryumf téj biednéj rzeczki, a patrząc tak, dziwnego doznawałem wrażenia. Bez dachu, bez ognia, bez pokarmu, doznawszy morskiego prawie na ziemi rozbicia, nie mogłem jednak udać się do bliskiego miasteczka, gdzie byli ludzie, ani prosić, aby mię pod dach jaki przyjęto, i przy gościnnem posadzono ognisku. A mogły nadejść okropniejsze burze, mogło nareszcie przyjść morze i zatopić wzgórze, na którem stałem; a wszystko to trzeba było własnemi siłami wytrzymać, ocalić się lub zginąć pod okiem ludzi, którzy się mnie i rzeczy moich dotknąć nie mogli i nie śmieli. Wyjaśniło się nakoniec niebo, a ja, nauczony doświadczeniem, już nie w dolinie, lecz na wzgórzu najwyższem rozbiłem namiot; i przyszły dnie pogodne, ciche, spokojnie płynące w pustyni. Drogman mój Soliman, sławny z tego i chełpliwy, że był niegdyś tłómaczem Champoliona, Roseliniego, Fresnela i wielu innych, opowiadał mi o swoich dawnych panach różne drobne

---

w. 106: *Drogman* albo dragoman — tłumacz urzędowy na Wschodzie.
w. 107—108: *Champollion* Jan Franciszek (1790—1832), badacz starożytności egipskich, wydał w r. 1822 *Lettre à Dacier*, zawierający zupełny alfabet hieroglificzny oraz wykład całego systemu pisma egipskiego. — *Rosellini* Hipolit (1800–1843), podróżnik i geograf, autor *Pamiętników o Egipcie*. — *Fresnel* Fulgencjusz (1795—1855), znakomity znawca arabszczyzny i badacz Wschodu, wydał m. in. *Quattre Lettres sur l'histoire des Arabes avant l'islamisme*.

szczegóły ich podróży i ze mnie zapewne zbierał zapas małych postrzeżeń, któremi będzie bawił przyszłych wędrowników. Wieczorem zaś, usiadłszy na ziemi u wejścia do namiotu, piękny ten Arab, z długą brodą, oświecony wzierającym między płótna księżycem, śpiewał mi strofy z poematów arabskich, których dźwięk niezrozumiany i smutna nuta kołysały mnie do snu. A wtenczas — może mnie anioł snów okrywał płaszczem rycerza Solimy, i naznaczał krzyżem czerwonym na piersiach, a zaś Araba tego przemieniał w giermka, śpiewającego smutne dumy z ziemi rodzinnéj. Lecz dosyć już o tym śnie tajemniczym życia mojego, o tym złotym stepie, i o tym namiocie, gdzie miałem chwile spokojne, gdzie budząc się, przez roztworzone płótno, oczy moje napotykały konstellacją Orjona, tak podobną do gwiaździstéj lutni, zawieszonéj przez Boga nad biednym namiotem błędnego Polaka. Dosyć o tym cichym tygodniu życia — przeminął. — Wielbłądy moje znów uklękły przedemną i podniosły się z pielgrzymem zadumanym, wyciągając długie, wężom podobne szyje ku grobowcowi Chrystusowemu; a kiedy już byłem o godzinę drogi ku wschodowi, obróciłem się na siodle, aby raz jeszcze spójrzeć na mój namiot zielony; obaczyłem go na wzgórzu i zdawało mi się, że sam wyszedł na miejsce wysokie, aby mnie pożegnać; a czy to ludzie pakując rzeczy, czyli też sam namiot, nie czując już w sobie mieszkańca, wyrwał kilka kołów z piasku i skrzydłem powiewał za mną, pokazując mi swoje łono czarne i puste — odwró-

w. 118: *rycerz Solimy* — rycerz Jerozolimy, Krzyżowiec. W *Wacławie* (XIII, w. 360—361) mówi poeta o swoim bohaterze: »On tak wyglądał, jak rycerz Solimy, Piękny i straszny...«

w. 125: *oczy moje napotykały konstellacją Orjona...* — Jest to najrozleglejszy i najświetniejszy gwiazdozbiór nieba, widzialny w Europie podczas miesięcy zimowych. Ma on zawierać 136 gwiazd, a między niemi jedną gwiazdę pierwszej wielkości. Mnóstwo też jest gwiazd podwójnych, zbiorowisk gwiazd i mgławic, z których najsławniejsza mgławica Orjona. Patrz *Listy do Matki* II, 68 i objaśnienie L. Meyeta.

ciłem się od téj rzeczy, co miała serce rozdarte po mnie. A wkrótce zaczęły się pokazywać na piasku łilije białe, zwiastując, że się zbliżam do żyźniejszej krainy; i pomyślałem, że na te same kwiaty obróciwszy oczy, mówił Chrystus do uczniów swoich, aby się nie troszczyli o jutro i o rzeczy z tego świata, patrząc na lilije, które Bóg odziewa.

Oto jest opis kwarantanny odbytéj przezemnie na pustyni; gorszą daleko wysiedział ów starzec, opowiadający nieszczęścia swoje w następnym poemacie. Historja jego boleści nie jest całkowicie zmyśloną: opowiadał mi ją doktor Steble, któremu tak za nią, jako za chłeby i za uprzejmość dla mnie, podziękowałbym tutaj, gdybym wiedział, że te kilka wyrazów znajdzie go na pustyni. Ale czemże jest dla niego wspomnienie w niezrozumianym języku, i wymówione glosem, który zaledwo się tak rozchodzi, jak kręgi na wodzie po rzuconym do niéj kamieniu.

OJCIEC ZADŻUMIONYCH

W EL-ARISH

Trzy razy księżyc odmienił się złoty,
Jak na tym piasku rozbiłem namioty.
Maleńkie dziecko karmiła mi żona,
Prócz tego dziecka, trzech synów, trzy córki,
Cała rodzina dzisiaj pogrzebiona
Przybyła ze mną. Dziewięć dromaderów
Chodziło co dnia na piasku pagórki.
Karmić się chwastem nadmorskich ajerów;

W. 1—20 spełniają mniej więcej tę samą rolę, jaką w poemacie *W Szwajcarji* spełniają wiersze 1—6. Stanowią one wstęp do późniejszego opowiadania »faktów«, które *W Szwajcarji* staje się przesuwaniem paciorków bolesnego różańca wspomnień cudnej i smutnej sielanki-tragedji, jakby wyobraźniową ewokacją sennych widziadeł, tu zaś jest krzykiem bluzgającej świeżą jeszcze krwią duszy ojca, który po ostatnim pogrzebie wraca do domu. Różnica pozornie drobna, niezmiernie jednak ważna z tego powodu, że z tego właśnie względu poemat *W Szwajcarji* ma charakter kontemplacji, w której zacierają się wszystkie szczegóły o tyle, że żaden z nich nie występuje w silnie zarysowanych konturach zdecydowanej rzeczywistości; w *Ojcu zadżumionych* zaś każdy niemal szczegół rzeczywistego wypadku występuje jasno, chociaż przesłania je mgła ludzkich łez. Oczywiście: świecą one uczuciem człowieka opowiadającego, muszą więc mieć pewne, uczuciu temu właściwe, naświetlenie, w którem zmieniają się czasem realne kształty, ale niejednokrotnie »obrazy« śmierci występują odrębnie, i dopiero kiedy się jakby utrwalą, rzuca się na nie światło uczucia.

W tych 20 pierwszych wierszach zamyka poeta ogólne, jakby jednem spojrzeniem ujęte, wspomnienie pierwszych, szczęśliwych, cichych chwil, któremu towarzyszy raz po raz odzywająca się świadomość kontrastującej teraźniejszości (w. 5, 10, 14—20), przechodząca w krótki, gwałtowny szloch w w. 17.

w. 6: *dromader* lub dromedar — wielbłąd jednogarbny.

w. 8: *ajer* — tatarak, tatarskie ziele *(Acorus Calamus)*.

A wieczór — wszystkie tu się kładły wiankiem,
Tu, gdzie się ogień już dawno nie pali.
Córki po wodę chodziły ze dzbankiem,
Synowie moi ogień rozkładali,
Żona z synaczkiem przy piersiach, warzyła.
Wszystko to dzisiaj tam — gdzie ta mogiła
Promienistemu słońcu się odśmiecha,
Wszystko tam leży pod kopułką Szecha.
A ja samotny wracam — o! boleści!
Trzy razy wieków przeżywszy czterdzieści,
Odkąd do mego płóciennego dworu
W téj kwarantannie wszedł anioł pomoru.

O! niewiadoma ta boleść nikomu,
Jaka się w mojém sercu dziś zamyka!
Wracam na Liban, do mojego domu —
W dziedzińcu moim pomarańcza dzika
Zapyta: starcze! gdzie są twoje dziatki? —
W dziedzińcu moim córek moich kwiatki
Spytają: starcze! gdzie są twoje córki?

---

w. 16: *kopułka Szecha*, grobowiec, w którym grzebano zmarłych na zarazę; w w. 312 nazywa go poeta *Szecha kaplicą*, w w. 218 *cmentarzem*.

w. 18: *Trzy razy wieków przeżywszy czterdzieści* — nieszczęśliwemu ojcu każdy dzień kwarantanny wydaje się wiekiem. Pobyt Araba w kwarantannie trwał, jak z obliczenia wypada, co najmniej 125 dni.

w. 20: *kwarantanna* — czas 40-dniowy lub miejsce, w którem przebywać muszą ludzie, wracający z krain dotkniętych zarazą.

w. 21—34: Motyw mniej więcej ten sam, jaki znajduje się w poemacie *W Szwajcarji* w. 379—380, rozwinięty tutaj zgodnie z akcją poematu. Rytmika w. 21, oddająca rytm uczuciowy ojca zadżumionych, równa rytmice w. 380 poematu *W Szwajcarji*. Różnice obu ustępów zaznaczam w objaśnieniu odpowiedniego miejsca *W Szwajcarji*.

Przełamanie myśli w w. 34 i następne krótkie »retoryczne pytanie«, skierowane do samego siebie i Boga zarazem — jako wyraz tragizmu artystycznie przepyszne, psychologicznie równe złamaniu płaczem głosu i załamaniu rąk.

w. 23: *Wracam*, czas. teraźn. zamiast: kiedy powrócę. *Liban*, u Arabów Dżebel-Liban, łańcuch gór w Syrji, między Tripolis i Tyrus.

Naprzód błękitne na Libanie chmurki
Pytać mię będą o synów, o żonę,
O dzieci moje, wszystkie, pogrzebione
Tam, pod grobowcem tym okropnym Szecha —
I wszystkie będą mię pytały echa,
I wszyscy ludzie, czy wracam ze zdrowiem,
Pytać się będą — Cóż ja im odpowiem?!

Przybyłem. Namiot rozbiłem na piasku.
Wielbłądy moje cicho się pokładły;
Dziecko, jak mały aniołek w obrazku,
Karmiło wróble, a ptaszęta jadły,
Aż do rąk prawie przychodząc dziecinie. —
Widzisz tę małą rzeczułkę w dolinie?
Od niej wracała najmłodsza dziewczyna,
Z dzbankiem na głowie, prościutka jak trzcina.
Przyszła do ognia i wodą z potoku
Śmiejąc się lekko trysnęła na braci. —
Najstarszy — z ogniem zapalonym w oku

---

w. 35: Znowu przełamanie wiersza na dwie części, z których pierwszą stanowi amfibrach, drugą dwa daktyle i trochej. Amfibrach, to nagłe opanowanie bolesnego krzyku, aby bólowi pozwolić spływać łzami aż do zupełnej rezygnacji.

Zrazu od w. 35—44 łzawy uśmiech pierwotnego szczęścia, oddany artystycznie w cudnie spokojnym, rafaelicznym, biblijnym obrazku, z właściwym charakterowi miejsca i Arabowi (a oczywiście i Słowackiemu) zwrotem do natury (w. 40), z porównaniem zupełnie naturalnem (w. 42).

w. 37: *Dziecko, jak mały aniołek w obrazku...* Oczywiście religijne pojęcie zgoła nie arabskie, lecz chrześcijańskie, a nawet katolickie. Podobnie wiersz 362.

Od w. 45 zaczyna się opowiadanie szybko po sobie następujących tragicznych wypadków, co poeta wyraża nieporównaną, do gwałtownie pędzących fal wezbranej rzeki podobną rytmiką wiersza, łamanego czasem na pojedyncze wyrazy, będące wyrazem całej myśli lub całego obrazu.

Sama śmierć najstarszego dziecka i towarzyszące jej »czynności« pogrzebowe oddane w 7 wierszach zaledwie, nie dlatego jednak, aby artystycznym celem poety w poemacie wogóle, a tu w szczególności, było odtworzenie uczucia (tylko, czy przeważnie) Araba. Ważnym powodem i względem jest zupełnie świa-

Wstał, dzbanek wody chwycił w drżące dłonie;
I rzekł: sam Bóg ci za wodę zapłaci,
Bo chcę pić jak pies, bo ogień mam w łonie.
To mówiąc, wodę wypiwszy ze dzbana,
Powalił się tu jak palma złamana.
Przybiegłem — nie czas już było ratować. —
Siostry go chciały martwego całować;
Krzyknąłem wściekły: niech się nikt nie waży!
Porwałem trupa i rzuciłem straży;
Aby go wzięła na żelazne zgrzebła,
I tam, gdzie grzebią zarażonych, grzebła.
A od téj nocy, tak pełnéj boleści,
Naznaczono mi nowych dni czterdzieści.

Téj saméj nocy Hafne i Amina
Umarły leżąc na łożu przy sobie.
A patrz! — tak cicho umiérały obie,
Że choć po śmierci najstarszego syna
Oczy się moje do snu nie zawarły,
A nie słyszałem, jak obie umarły.
I nawet matka własna nie słyszała,
Choć wiém, że także téj nocy nie spała.
Rankiem, obiedwie sine jak żelazo,
Dwie moje córki, zabite zarazą,

---

domy siebie rozmysł artysty, którego »czeka« jeszcze 8 obrazów śmierci. Oczywiście ilość wierszy nie będzie wzrastać z każdą następną sceną śmierci, owszem: będzie podnosić się lub spadać, zależnie od natężenia uczuciowego stosunku ojca do gasnącego dziecka. Samo się przez się rozumie, że w tego rodzaju poemacie kwestją pierwszorzędną jest rozwój uczucia ojca, w tym wypadku chodzi jednak o jego artystyczny wyraz, o sposób, zapomocą którego poeta cel swój osiąga. Fizjologiczny wyraz takich śmierci musiałby naturalnie ciągle się powtarzać, co byłoby artystycznym błędem, i dlatego poeta wprowadza go rzadko, zwracając bardziej uwagę na uczucia Araba.

w. 57—58: to stały, co pewien czas powtarzający się refren, spełniający rolę budziciela coraz posępniejszego, tragiczniejszego nastroju.

Wywlec kazałem strażnikom z namiotu;
I porzuciły nas! — i bez powrotu!...
A jak dorosłym przystoi dziewicom,
Włosami ziemię zamiotły rodzicom.

Widzisz te słońce w niebie lazurowém?
Zawsze tam wschodzi za lasem palmowym,
Zawsze zachodzi za tą piasku górą;
Zawsze te niebo nie splamione chmurą:
A mnie się zdało wtenczas, nie wiém czemu,
Że słońce, słońcu nie równe złotemu;
I już nie takie, jakie było wczora,
Ale podobne do słońca upiora.
A niebo, które patrzało na zgubę
Mego rodzeństwa, moich trojga dzieci:
Tak mi się mgliste zdawało i grube
Ziemi wyziewem i słońca purpurą,
Że nie wiedziałem, czy pacierz doleci
Do Pana Boga, co się zakrył chmurą.

I tak dni dziesięć przeszło, choć nie skoro.
Reszta mych dzieci żyła — wszystko czworo

---

w. 59—72: Śmierć Hafne i Aminy wyraża poeta zapomocą 14 wierszy. I znowu szczegółów zewnętrznych żadnych, a jeżeli chodzi o bezpośredni wyraz uczucia ojca, to jego muzycznym tonem tylko w. 70. Zapewne, w słowach pozornie spokojnych wyczuwa się łatwo potężny żar uczucia, ale jest to znowu »zasługa« poety, który operuje rozmyślnie kontrastem, aby wrażenie było tem silniejsze. Słowacki ucisza rozmyślnie fatalne kroki Martwicy tak, że nawet czuwający rodzice nie mogą ich słyszeć. Bezpośredni wyraz uczucia ojca, oddany dwoma krótkiemi zdaniami, jakby dwoma straszliwemi westchnieniami człowieka, któremu poczyna brakować oddechu i który w chwili najstraszniejszej nawet pamięta każdy drobny szczegół. Przy postaci Araba w tej chwili przypominamy sobie sienkiewiczowską panią Emilję, wpatrzoną w przycięte trumną włosy Litki.

w. 73—86: to przepyszna artystycznie i cudowna psychologicznie projekcja duszy nieszczęśliwego Araba w przyrodę. Jego smutek przesłania gęstą chmurą łez płomienną zawsze blaskami naturę.

Małżonka moja serce miała lżejsze,
I nawet moje dzieciątko najmniejsze
Żyło i kwiatkiem nie chciało usychać —
Ja sam nareszcie zacząłem oddychać;
Bo nie wierzyłem, żeby wziąwszy troje,
Bóg mi chciał zabrać wszystkie dzieci moje.

O! była to więc piekielna godzina!
Gdy patrząc na twarz najmłodszego syna,
Śmierć zobaczyłem.— Ach! ja go tak strzegłem! —
Pierwszy na twarzy znak wystąpił drobny;
Niktby nie dostrzegł — ja ojciec spostrzegłem.
On do tamtego stawał się podobny;
Stawał się jak mój trup pierworodzony
Z jasnego blady, z bladego czerwony.
Patrzę! — Na twarzy plam żelaznych krocie, —
Więc zawołałem głośno: śmierć w namiocie!
I pochwyciwszy go z takiemi trądy,
Wyniosłem na step, pomiędzy wielbłądy;
Aby go tam śmierć zgryzła do ostatka;
I żeby na to nie patrzała — matka.

To nadto niezwykły środek techniczny, ożywiający wątek opowiadania rzeczywistych wypadków i jakby ilustrujący obrazem muzyczny element uczuciowo-refleksyjny. Budowa poematu z tych właśnie składa się cząstek: 1) fakty, 2) przyroda, 3) refleksje i uczucia.

Warto porównać stosunek bohaterki *W Szwajcarji* do przyrody, zaznaczony w ustępie XV, ze stosunkiem do niej Araba. Tam »zdziwiły — ją — róże, że takie były jak wczoraj różowe«, — tu »słońce słońcu nierówne złotemu i już nie takie, jakie było wczora«. Powód zupełnie jasny i zrozumiały.

w. 87—108: Śmierć pierwsza przyszła niespodzianie, jak »grom z jasnego nieba«, nie pozwalając nawet zebrać myśli, zwłaszcza że *tej samej nocy* nadleciała bezszelestnym nietoperzowym lotem śmierć druga, a ta jej bezpośredniość i podwójność grozy osłabiła, a raczej wchłonęła w siebie wrażenie pierwsze. Żeby zaś uderzenie trzeciej śmierci było odpowiednio silne, a jako jego logiczne i artystyczne następstwo, aby wrażenie ojca i czytelnika miało swoją właściwą moc, poeta każe jej przyjść po dniach 10,

Przy konającym czuwaliśmy bliscy,
Ja z wielbłądami — na kolanach wszyscy.
Łamałem ręce i wołałem głośno:
Oby nie umarł! lub się był nie rodził! —
A tam nad palmy, z twarzą nielitośną,
Gdy konał mój syn, blady miesiąc wschodził,
I patrzał: — tego z pamięci nie zatrzéć!
I nie wiem, jak ten sam miesiąc mógł patrzéć!
Gdy skonał w mojém ojcowskim uścisku,
Chciałem go spalić na popioł w ognisku:
Lecz ledwie ogień zaczął biec po szacie,
Wyrwałem trupa i rzuciłem straży —
Poniosło mi go czarnych dwóch grabarzy,
I lepiéj mu tam przy siostrach i bracie.
Od tego zgonu i od téj boleści,
Naznaczono mi nowych dni czterdzieści.

Pod kręgiem słońca jako krew czerwonym,
I pod namiotem tym zapowietrzonym
Żyliśmy, słowa nie mówiąc do siebie,
I śmierć przed samą śmiercią udawali:
Myśląc, że Boga oszukamy w niebie,

oraz budzi wiarę ojca w litość Boga. Zaznacza też i podkreśla uczuciowy stosunek ojca do syna (w. 97). Pierwszy też raz notuje zmiany fizyczne. Już ojciec śmierć spostrzega i chce, »żeby na to nie patrzała matka«; już wreszcie wynosi trupa sam, a czuwając przy konającym synu, woła głośno: *oby nie umarł lub się był nie rodził* (podobnie jak Kochanowski w trenie X II). Tragizm położenia, straszliwą burzę szarpiących uczuć, zasuwające się na oczy dziecka mroki śmierci podnosi poeta kontrastowem — cichem i srebrnem światłem księżyca, który, co jeszcze podkreśla, »z twarzą nielitośną wschodził«. Po raz pierwszy wkońcu nieszczęśliwy ojciec chce sobie zostawić syna chociaż garsteczką popiołu, ale chorobliwie drży przed jego bólem i rzuca straży... Ma to uczucie, będące chorobliwą złudą pewności, że w kapliczce Szecha będzie mu jakoś lepiej *przy siostrach i bracie.*
w. 123—124: znany już refren.

Że się ten bałwan zarazy przewali. —
Powrócił! — Anioł powrócił morderca!
Ale mnie znalazł bez łez i bez serca,
Już omdlałego na boleści świeże,
Już mówiącego: niech Bóg wszystko bierze!
Miałem na syna trzeciego cierpienia
Powieki bez łez i serce z kamienia.
Boleść już była jako chleb powszedni.
I pod oczyma mi konał mój średni,
Najmniéj kochany w mém rodzinném gronie,
I najmniéj z dzieci płakany po zgonie.
To też Bóg jemu wynagrodził za to,
Bo mu dał cichą śmierć i lodowatą,
Bez żadnych bolów, bez żadnych omamień.
Skonał i skościał, i stał się jak kamień.
A tak okropnie po śmierci wyglądał,
Jakby już próżnych naszych łez nie żądał,
Ale chciał tylko lice swoje wrazić
W serca nieczułe, oczy nam przerazić,
I wiecznie zostać w rodziców pamięci,
Z twarzą, co woła: — jesteście przeklęci! —
Skonał. Myślałem wtenczas — o! rozpaczy! —

---

w. 125—134: to uczuciowo-myślowy stan duszy ojca po śmierci najmłodszego syna i w chwili powrotu »Anioła-mordercy«. Znakomicie oddany stan niemal zupełnej duchowej martwoty. Jeszcze błąka się poomacku nie zabita całkiem energja (w. 127—130), kończąca się rozpaczliwem samobójstwem rezygnacji (w. 134).

w. 135—150: obrazują śmierć syna najmniej kochanego. Zaczyna poeta od zaznaczenia uczuciowego stosunku ojca do syna, a określając jego śmierć *cichą i lodowatą* jako nagrodę Boga za brak miłości rodzicielskiei, oraz układaiąc rysy jego twarzy po śmierci w straszną dla ojca formułę przekleństwa, czyni ją, mimo szczupłości odtwarzających słów, przerażającą dozgonnym wyrzutem wyrządzonej krzywdy. Szczegółów, obraz śmierci składających,—mało, słyszymy ją raczej w skardze bezbronnego wobec wyroków boskich, coraz smutniejszego ojca.

w. 144: *skościał* zam. skostniał. W wierszu tym mamy rodzaj alliteracji.

w. 151—155: Początek wiersza 151, będący jednem krotkiem, pozornie spokojnem słowem, stwierdzającem ogrom tragicznego faktu, to

Że jeśli reszcie Pan Bóg nie przebaczy,
Jeśli Anioła śmierci przyszle po nie:
Dziecko mi weźmie — żonę — a po żonie
Mnie nieszczęsnego zawoła przed Stwórcę.
Córka! — Ja myśleć nie śmiałem o córce!
I trwoga o nią nie gryzła mię żadna.
Ach, ona była młoda! taka ładna!
Taka wesoła, kiedy moją głowę
Do lilijowych brała chłodzić rączek,
Kiedy zrobiwszy z jedwabiu osnowę,
Około cedru biegała po trawie,
Jak pracowity snując się pajączek.
Patrz! i ten pas mój błyszczący jaskrawie
Ona robiła — i te smutne oczy
Ona rąbkami złocistych warkoczy

---

oczywiście środek techniczny, stanowiący przejście do dalszego opowiadania. W kilku urywanych zdaniach następnych wyraża poeta w sposób niesłychanie silny wzmagającą się coraz bardziej burzę bólu, którą przerywa na chwilę krótki grzmot rozpaczy: Córka!

w. 156—218: Rytmika wierszy zwalnia się i ścisza zupełnie naturalnie i subtelnie. Gdyby się chciało użyć obrazowego porównania, trzebaby było określić ten cały ustęp obrazem przyrody w chwili, kiedy po uderzeniu piorunu przez rozsunięte nieco chmury pokaże się słońce i pocznie roziskrzać się w tęczę w cicho spadających łzach deszczowych. Przez krótką chwilę, zanim chmury przysłonią znów słońce, cały świat złoci się światłem.

Niedający wyrazić się bezmiar bólu wyraża poeta sześciu dotąd nieużywanemi sposobami: 1) dwa razy (w. 156 i 200) powtórzonem jednem słowem: Córka!, którego treść uczuciową wzmagają celowo dodane wykrzykniki, oraz oddzielenie go pauzą od reszty wyrazów, oddających inne uczucia; 2) cudownym obrazem anielskiej dobroci i mrówczej pracy dziecka; 3) chwilową pewnością (w. 182) i chwilową złudą szczęścia (w. 197); 4) motywem przeczucia (w. 183—193); 5) rozpaczliwą prośbą córki o ratunek (w. 205); 6) litością strażników, którzy *nieostrożnie zaczepili hakiem...* Powtarza się natomiast znany z w. 87 motyw nadziei i pewności, że się już bałwan nieszczęścia przewalił, bo tu jak i tam, *dziesięć dni przeszło.*

Śmierć sama oddana przerażająco krótko, a tem straszniejsza dla ojca, że ta najdroższa dziewczyna *piękna była jak Anioł— po śmierci.*

Po raz pierwszy sam ojciec wynosi trupa na »cmentarz«, aby obecność dziecięcia przedłużyć...

Rozległość skali uczuciowej — olbrzymia jak dusza...

Tak przesłaniała: że patrzałem na nią
Jako na róże, przeze łzy i słońce.
Ach, ona była domu mego panią!
Ona, jak jaśni anieli obrońce,
Najmniejsze dziecko w kołyseczce strzegła.
I gdzie płacz jaki słyszała, tam biegła;
I wszystkie nasze opłakała ciosy,
I wszystkie nasze łzy — wzięła na włosy.

Dziesięć dni przeszło, i nocy tak długich,
Że śmierć już mogła na gwiazdy odlecić.
Dziesięć dni przeszło, dziesięć nocy drugich
Przeszło — nadzieja zaczynała świecić...
Po dzieciach ustał wielki płacz niewieści,
I naliczyliśmy ranków trzydzieści.
Nareszcie zbywszy pamięci i mocy,
Położyłem się i zasnąłem w nocy.
I we śnie, w lekkie owinięte chmury,
Ujrzałem moje dwie umarłe córy.
Przyszły, za ręce trzymając się obie;
I pozdrowiwszy mię pokojem w grobie,
Poszły oczyma cichemi błyszczące,
Nawiedzać inne, po namiocie śpiące.
Szły cicho, zwolna, schylały się nisko,
Nad matki łożem, nad dziecka kołyską;
Potém, na moją najmłódszą dziewczynę
Obiedwie, ręce położyły sine!
Budzę się z krzykiem i umarłą dziatwę
Klnąc, wołam dziko: Hatfe! moja Hatfe!
Przyszła jak ptaszek cicho po kobiercu,
Rzuciła mi się rączkami na szyję;

I przekonałem się, że Hatfe żyje,
Słysząc jéj serce bijące na sercu.
Ale nazajutrz grom przyszedł uderzyć —
Córka!!! — Lecz naco z boleścią się szerzyć?
I te mi dziecko sroga śmierć wydarła!
I ta mi córka na rękach umarła!
A była jedna najstraszniejsza chwila —
Kiedy ją bole targały zabójcze,
Wołała: Ratuj mię! ratuj, mój ojcze!
I miała wtenczas czerwone usteczka,
Jak młoda róża kiedy się rozchyla. —
I tak umarła ta moja dzieweczka,
Że mi się serce rozdarło na ćwierci —
A piękna była jak Anioł — po śmierci!

Przyszli nademną płakać nieborakiem
Strażnicy; przyszli mi wydrzeć to ciało.
I nieostróżni zaczepili hakiem —
Hak padł na pierś jéj twardą, krągłą, białą...
I tu — bogdajby jak ja nie umarli! —
Tu ją pod memi oczyma rozdarli. —
Ty im to, Boże niebieski, spamiętasz!
Wziąłem ją — i sam zaniosłem na cmentarz.

Z założonemi na piersiach rękoma
Siedziała trzy dni matka nieruchoma,
W kącie namiotu, żółta, jakby z drewna.
Dziecina stała się blada i rzewna;
Bo mléko matki zaczęło wysychać,

Od w. 219 wchodzi do »akcji« poematu — matka; głos bólu poczynają wydawać odtąd dwie struny.

I co dnia było płacz w kołysce słychać.
A ta pustynia — nie masz dzieci w grobie! —
Ona inaczéj wydaje się tobie,
Może złocista, jasna i weselna?
Lecz dla mnie, jest to równina piekielna!
Przez tę równinę, przez te piasku kupy,
Ciągnięto śniade moich dzieci trupy.
A tam na wzgórzu, kędy morze bije:
Dla ciebie szumi morze — dla mnie wyje;
A kiedy z wichrem na brzegi nie skacze,
Dla ciebie szemrze tylko — dla mnie płacze.
Co dnia, gdy przyszła wieczorna godzina,
Śpiewającegom słyszał muezina:
Jakby się nad mym ulitował losem,
Zaczął smutniejszym obwoływać głosem,
Krzycząc ze swego piaskowego stoga
Nieszczęśliwemu ojcu — wielkość Boga.
O! bądźże mi ty pochwalony, Ałła!
Szumem pożaru, co miasta zapala,
Trzęsieniem ziemi, co grody wywraca,
Zarazą, która dzieci mi wytraca

---

w. 225—262: Minęło 5 dni, pełnych ptaszęcego płaczu najmłodszego dziecka, »bo mleko matki zaczęło wysychać« — spokojnych jednak w porównaniu z minionemi chwilami burz. Dusza nieszczęśliwego mogła więc w tej piekielnej ciszy uświadomić sobie całą otchłań swojego nieszczęścia. Robi to zaś poeta w ten sposób: 1) każąc Arabowi »przeciwstawiać« siebie temu, komu opowiada swoją tragedję *(nie masz dzieci w grobie!)* i wskutek tego uświadamiać sobie zgoła inną relację duszy do przyrody (w. 225—234); 2) zestawiając spokojny śpiew muezina z tragicznym, potwornie prawdziwym hymnem ojca-fatalisty; 3) psychologicznie prawdziwem, a artystycznie przepysznie wyzyskanem spostrzeżeniem nieszczęśliwego Araba, że wszyscy i wszystko zaczęło stronić od niego.
W krąg jego zainteresowań psychicznych poczynają teraz wchodzić *wróbelków krocie*, które przedtem (w. 37—38) stanowiły przedmiot zainteresowania tylko wzroku.

w. 236: *muezin* — nazwa arabska, oznaczająca zwołującego na modlitwę do meczetów wielkich; małe — muezinów nie posiadają, zwoływaniem zajmuje się sam duchowny (Imâm).

I bierze syny z łona rodzicielki.
O! Allach Akbar! Allach! jesteś wielki!

Wszytko, co miało tylko twarz człowieka,
Zaczęło stronić odemnie zdaleka.
Namiotu mego — córki go uprzędły —
Płótna na rosie poczerniały, zwiędły,
I podarły się, i lekko napięte
Były jak próchna z ludzkich trumien zdjęte.
Zarazę było znać na tym namiocie —
I wiesz? że nawet tych wróbelków krocie,
Co zlatywały się tutaj o brzasku,
Jeść okruszyny i kąpać się w piasku:
Odkąd mi dzieci zaczęło ubywać,
Po żer przestały się wszystkie zlatywać.
Czy odstraszyło je podarte płótno
Namiotu mego? czy twarz moja biedna? —
Nie przyleciała z ptaszyn ani jedna
I spostrzegłem to — i było mi smutno.

Po córce w pięć dni — o! Boże mój! Boże!
Z wieczora huczeć już zaczęło morze,

---

w. 246: *Allach Akbar! Allach, jesteś wielki!* — Allach, nazwa jedynego Boga muzułmanów. Godłem nauki jest znane u muzułmanów wyznanie wiary: *La ilaha illa Allaha* (niemasz Boga oprócz Allaha). Allah jest wieczny, istnieje sam przez się, sobie samemu wystarcza, nie ma sobie równego, nie był spłodzony i sam nie płodzi nikogo; zapełnia świat cały, jest panem ciała i ducha, jest niewidzialny i obecny na każdem miejscu.

w. 263—280: Cały ten ustęp składa się z dwu wyraźnych części: Pierwszą stanowi muzyczno-nastrojowy »obraz« burzy (w. 263—274), zupełnie niemal identyczny z tym, jaki Słowacki dał w przedmowie (w. 52—70), z pewnemi tylko zmianami, czasem czysto wyrazowemi, tego samego pojęciowo-uczuciowego stosunku człowieka do otoczenia, zależnego od odmiennych zupełnie sytuacyj poety i Araba (np. Słowackiemu namiot »zaczerwieniony od piorunów wydawał się ognistym i strzegącym łoża bezsennego cherubinem«, Arabowi — namiot w czerwieni piorunów wydawał się »podobny grobom szatańskim z płomieni«); drugą część stanowi muzyczno-

I słońca się krąg pochował ponury,
I niebo czarne zaciągnęły chmury.
Noc przyszła, dotąd w pamięci ohydna,
Ciemna, od gromów czerwoności widna.
Jeszcze dziś czuję i widzę i słyszę,
Słyszę, jak namiot gęste sieką deszcze,
Jak się rozciąga, jak głucho szeleszcze,
Jak się nademną w ciemności kołysze
I od piorunów się cały czerwieni,
Podobny grobom szatańskim z płomieni.
Zdawało mi się, za burzy łoskotem,
Żem słyszał martwe dzieci, za namiotem,
Wszystkie jęczące przeraźliwie, głucho.
Więc natężałem wzrok, serce i ucho;
I z przerażeniem rozmyślałem w sobie,
Jak moim dzieciom takiej nocy w grobie?

I nagle — czemuż ta śmierć tak zdradziecko!
Tak cicho weszła pod namiotu żagle?! —

---

uczuciowy wyraz duszy Araba. Stan ten, to chorobliwe już przeczulenie nerwów, na których złudzenie gra wprost straszliwą melodję pewności... Ucho pochwytuje nieegzystujące w rzeczywistości jęki, jakby przerażonych burzą dzieci, transponując w przestrzeń żywe wciąż w duszy ojca głosy dzieci żyjących...

w. 274: obraz dantejski.

w. 281—302: poświęcone śmierci ostatniego dziecka, którą poeta wyraża zapomocą 1) płaczu dziecka, 2) elementu ruchu, czynności obojga rodziców (w. 286—287) i 3) uczuć, które ten jęk *tak rozumny! i taki przeklęty!!!* obudził w duszach ojca i matki.

Nie używa natomiast barw żadnych, raz jeden tylko ujmując śmierć określeniem barwnem (»śmierć mi go c z a r n a wzięła nielitośnie« w. 299). Uczucia nie wyrażają się nadto same, to jest nie wyraża ich poeta obrazem, sceną ruchu czy gestem ojca, ale (oczywiście ustami Araba!) n a z y w a je, albo odpowiednią rytmiką oraz ciągłem przełamywaniem wiersza i jego myślowo-uczuciowej treści — potęguje (n.p. w. 288—292, w. 294, 298, 300, 302).

Rytmika niektórych wierszy równa rytmice wierszy poprzednich (rzecz naturalna!), bo są one wyrazem tych samych uczuć — n.p. w. 294 i w. 70. Mistrzowska jest rytmika w. 298 i 302. Oba są płaczem beznadziei: pierwszy — jakgdyby szlochem złamanego zupełnie świadomością straty s e r c a, drugi — jakgdyby długim szlochem świadomości m ó z g u, że to jest strata bezpowrotna.

Grom spadał hucząc po gromie — i nagle
W kołysce z cicha zapłakało dziecko —
A płacz ten musiał być strasznym wyrazem...
Bo zaraz — matka — ja — oboje razem —
Rzuciliśmy się, gdzie robaczek lichy...
A choć dziecięcia jęk był bardzo cichy,
To tak wydawał się obójgu głośny,
I tak rozdarty, i taki żałośny,
I tak z głębokich wnętrzności wyjęty!
I tak rozumny! i taki przeklęty!!!
Żeśmy oboje biegli gromem tknięci,
I bez nadziei już! i bez pamięci!

I nie zawiodło przeczucie żałoby!
Umarło — z takiéj jak tamte choroby.
I poszło leżeć między trupy bratnie,
Moje najmilsze!... i moje ostatnie!!!
Śmierć mi go czarna wzięła nielitośnie.
I już nie wróci! ani mi urośnie!
Ani go kiedy mój dom już zobaczy! —
I już nie wróci nigdy! — o! rozpaczy!!!

Noc przyszła druga, błyszcząca gwiazdami.
Byliśmy z matką w namiocie — przed nami
Leżało dziecko na stole, nieżywe,
Nieruchomością śmierci przeraźliwe.
Uczułem wtenczas, patrząc na tę postać,

---

w. 303—314: to obraz chwili bezpośrednio po śmierci dziecka, kiedy trup jeszcze na stole. Dusza zupełnie złamanego ojca ma jeszcze ostatnie pragnienie, świadczące o kołatającej się w niej zrazu rozterce energji uczuciowej (w. 307—310); poczem traci zupełnie władzę, tak, że już nawet drogiego trupka **sam** wynieść nie może (*Ale je matka tam zaniosła sama*).

Że gdyby mogło choć tak z nami zostać,
Przez wszystkie lata — choć tak, nie inaczéj —
Ubyłoby mi z serca pół rozpaczy.
A te już — ani zarazy strażnicy,
Ani ja niosłem do Szecha kaplicy,
Gdzie się nam trupia otwiérała brama:
Ale je matka tam zaniosła sama.

W namiocie pustym ja zostałem z żoną.
Ale czy pojmiesz? — zamiast nas połączyć,
Boleść, obójgu nam rozdarłszy łono,
Zaczęła jakieś jady w serca sączyć,
I teraz chyba je sam Bóg oczyści.
Smutek podobny był do nienawiści,
I stanął czarny, wielki, między nami.
Więc rozłączeni byliśmy i sami.
I nie mówiliśmy do siebie słowa —
Bo powiedz, jakaż być mogła rozmowa,
W pustym namiocie między mną i żoną?
Pomiędzy ojcem i matką tych dzieci?...
Słońce wschodziło w upały czerwono,
Co dnia tonęło tam, gdzie teraz świeci,
Jak jaka skrawa pożaru pochodnia. —
Więc tak bezdzietnym było — i tak co dnia —
Cisza ogromna namiot nasz zaległa.

---

w. 315—356: Przeklęty płócienny dwór opustoszał. Zostało w nim tylko dwoje ludzi, pomiędzy którymi zerwały się wszelkie nici. Patologja bólu oddana z fenomenalną prawdą tak, że wyraz tej prawdy (w. 316—318) stał się własnością wszystkich. Araba czeka jeszcze śmierć jedna, a przygotowywa ją poeta zaznaczeniem niesamowitych barw twarzy i oczu tej, która ma umrzeć. Są one niezawodną i oczywistą zapowiedzią niedalekiej śmierci, której poeta poświęca zaledwie 2 wiersze. Dusza Araba rozpada się w proch (w. 355).

w. 29: *skrawa* — skrząca się, płonąca.

Chyba mysz jaka w księżycu przebiegła;
Zgoła innego jęku ni szelestu...
Doczekaliśmy więc tak dni czterdziestu.
I kwarantanny przybyli lekarze,
Głęboko patrząc w nasze smutne twarze.
Widziałem, jak się każdy z nich zadziwiał;
Bo nachyliłem się był i posiwiał.
A żona moja od niespań i troski,
Była jak bursztyn, albo żółte woski;
Na głowie miała z włosów siwych wieniec,
Jakiś okropny ceglany rumieniec,
A oczy pełne takiéj błyskawicy,
Jak ci, co wyjdą na słońce z ciemnicy.
Lekarz nam kazał w sustawy uderzyć,
Tam, gdzie zaraza pierwsze rzuca strupy —
Zdrów byłem. — Ludzie! czy będziecie wierzyć?
Ja, co me wszystkie całowałem trupy,
Z téj kwarantanny wychodziłem zdrowy:
Żona, co nawet nie tknęła połowy,
Nad piersiami się uderzywszy, zbladła,
I zachwiała się z jękiem — i upadła.
A ja na ręce wziąłem trup niewieści,
Zaniosłem w namiot i rzuciwszy brzemię,
Upadłem przy niéj, jak martwy na ziemię.
I obudziłem się — na dni czterdzieści.....

Przed samą śmiercią wyznała mi matka,
Że chciała z grobu swojego dzieciątka

w. 332: *Chyba mysz jaka w księżycu przebiegła* — należy rozumieć: chyba mysz jaka przez światło księżyca przebiegła, wydając lekki szelest. Przelatujące w świetle księżyca myszy zauważył także byronowski *Więzień Chillonu*.
w. 345: *w sustawy* — w stawy nad piersiami.
w. 357—430: Po 40 dniach zupełnej martwoty, wynosi ojciec zadżumio-

Jakiéj pamiątki, kamienia, lub kwiatka,
Włoska w złocistych na głowie obrączkach;
I ta po dziecku umarłém pamiątka —
Patrzaj! obrazek ten, co trzymał w rączkach,
Te włoski złote i tak dzisiaj święte,
W mogiłce z główki maleńkiemu zdjęte —
Bo biedna matka miała tyle mocy,
Że odkopała dziecko o północy;
Znalazła jeszcze niezepsutém wcale,
Pocałowała w usteczek korale
I znów włożyła do trupich obsłónek —
Te upominki i ten pocałunek,
Zazdrośnéj ziemi Szecha ukradzione,
Zabiły matkę i wzięły mi żonę.

I znów się łono piaskowe otwarło,
Gdzie pochowałem matkę martwych zmarłą.
Potém wróciłem do płóciennéj nory,
Schować się w cieniu, jak nocne potwory.
Ani ja słońca na niebieskim sklepie,
Ani mnie ludzie widzieli na stepie.
Stałem się jako zdziecinniali — starzy —
W pamięci mojéj, żadnéj żywéj twarzy,
Tylko te sine i okropne lica,
Które mi wzięła zarazy martwica.

---

nych ostatniego trupa na cmentarz, sam zgoła trup, jeno żywy, ***jako zdziecinniali starzy***, żyjący tylko umiłowaniem przeszłości, ku której biegł miłosnemi wyrazami serca i ust... Zżył się i rozumiał tylko... śmierć. Wskrzesił go z niej (rzecz charakterystyczna dla poety!) nie człowiek żaden, ale wielbłąd z ***twarzą tak litośną***. I oto zrywa ***koły i powrozy***, bo życie nie rozumie martwoty, a tej pracy przypatruje się człowiek — ciekawy, nie zdający sobie zresztą sprawy z możliwości następstw...

Próżny jednak każdy wysiłek energji ludzkiej, bo światem rządzi Bóg-przeznaczenie, więc

O! bądźże mi ty pochwalony, Alla!

I w dzień błękitny i w noc każdą ciemną
Oni tu byli w tym namiocie ze mną;
Gadałem z niemi, zmyślałem rozmowy,
W których rozmawiał ze mną tłum grobowy;
I często dziwnym natrafiłem losem
Na głos, co moich był dzieciątek głosem.
Z obłąkanego budziły mnie śnicia
Po nocy hyen przeraźliwe wycia,
Tam nad trumnami... i słuchałem blady,
Jak nad trupami płaczą trupojady.
Stałem się wreszcie jak wąż, gdy ochłodnie.
I przechodziły mi dnie i tygodnie,
Bez żadnych bolów, pamiątek, omamień.
Stałem się twardy i zimny jak kamień.
I raz — ach, Boska nademną opieka!
Patrzę, ktoś w namiot mój cicho zagląda —
I ach! — nie była to już twarz człowieka,
Lecz głowa mego starego wielbląda.
Spojrzał — i spojrzał z twarzą tak litośną,
Że rozpłakałem się jak dziecko głośno.

I tak przeżyłem smutnych dni czterdzieście;
Przyszli mię ludzie uwolnić nareszcie.
O! gorżka wolność i chwila odlotu!
Jam do ciemnego już przywykł namiotu;
Z uczuciem smutku, boleści i zgrozy
Będę wyrywał koły i powrozy,
Które... (o! Boże wiekuisty świeć mi!...)
Do tego piasku zatykałem z dziećmi.
Ach, pomoż ty mi je zerwać — sam jestem!
A może tobie posępnym szelestem

Te płótna więcéj boleści powiedzą?
One widziały wszystko! wszystko wiedzą!
Czyż nie są teraz jak męki obrazy?
Patrz na nie, dotknij! nie bój się zarazy,
Nie bój się śmierci, co dotknięciem sinem...
Wszak ty nie jesteś, synu, moim synem.
Lecz nie — uciekaj! ja wiém, że te płótna
Straszne się muszą obcym ludziom zdawać.
Śmierć od zarazy? ach! to śmierć okrutna!
Zaczynasz własnych braci nie poznawać,
Potém cię ogień pali, piersi gorą...
Ach! ja tak moich widziałem ośmioro!
I co dnia patrząc na tak konające,
Wysiedziałem tu całe trzy miesiące.
Dziś — oto dziewięć wielbłądów podróżnych,
A na nich — patrzaj, osiém juków próżnych.
I nie zostało mi nic — oprócz Boga;
I tam mój cmentarz — a tamtędy droga. —

W SZWAJCARJI

I.

Odkąd zniknęła jak sen jaki złoty,
Usycham z żalu, omdléwam z tęsknoty.
I nie wiém, czemu ta dusza, z popiołów,
Nie wylatuje za nią do Aniołów?
Czemu nie leci za niebieskie szranki,
Do téj zbawionéj i do téj kochanki.

II.

W szwajcarskich górach, jest jedna kaskada,
Gdzie Aar wody błękitnemi spada.
Pozwól tam spójrzéć zawróconéj głowie.
Widzisz tę tęczę na burzy w parowie?

---

w. 1: Poemat *W Szwajcarji* urodził się cały z »poezji wiosny i Szwajcarskiego powietrza«. Że zaś »wśród takiej natury trzeba być smutnym, albo trzeba się kochać«, przeto — jak powiada poeta — »w mojej głowie utworzył się jakiś obraz, jakieś wyobrażenie ogromnej miłości niepodobne do osiągnienia«. Nieporównanie bogata wyobraźnia stroiła to »wyobrażenie« we wszystkie cuda barw, na które patrzyły zasłonięte mgłą smutku oczy poety. Roztęsknione i łaknące uczucia serce — poczęło wierzyć w prawdę i rzeczywistość »urojeń i marzeń«. Kiedy zaś Słowacki wrócił »przez Bern do domu najprozaitszej w świecie rzeczywistości, zastał dom, pełny cudzoziemców (dosłownie i przenośnie!) i może z tej przyczyny wojaż zostawił — mu — jakiś ponury smutek i tęsknotę«, które zmieniały się zwolna w »żal i tęsknotę« za tą, która jakby »zniknęła jak sen jaki złoty«, wyczarowana tęsknotą smutnego serca człowieka i romantyczną wyobraźnią artysty-poety.

w. 8: *Aar* — po Renie i Rodanie największa z rzek Szwajcarji. Początek bierze z lodowców Grimsel i Schreckhorn i przepływa przez jeziora Thun i Brienz. Kaskada, o której mówi Słowacki, to wodospad jego, Hangsegg, jeden z najpiękniejszych w Europie. Olbrzymie masy wody, spadające w przepaść, rozpylają się w burzę mgły, na której, niby na srebrzystych krosnach, haftuje słońce ogromne łuki tęcz.

Na mgłach srebrzystych cała się rozwiesza,
Nic ją nie zburzy, i nic ją nie zmiesza;
A czasem tylko jakie białe jagnie
   Przez tęczę idzie, na skraju doliny
   Szczypać kwitnące róże i leszczyny;
Lub jaki gołąb, co wody zapragnie,
Jakby się blaskiem pochwalić umyślnie,
Przez tęczę szybko przeleci i błyśnie.
Tam ją ujrzałem! i wnet rozkochany,
Że z tęczy wyszła i z potoku piany,
Wierzyć zacząłem i wierzę do końca;
Tak jasną była od promieni słońca!
Tak pełna w sobie anielskiego świtu!
Tak rozwidniona zrennicą z błękitu!—
Gdy oczy przeszły od stóp do warkoczy,
To zakochały się w niej moje oczy;

---

w. 13—18: Na tle tych tęcz ukaże się czasem na chwilę *jakie białe jagnie.. lub jaki gołąb*, ażeby zniknąć, jak zniknie potem kochanka, biel sza niż *gór nadalpejskich śnieżysta dziewica.*

w. 19—21. Zjawienie się kochanki *pod jasną tęczy różnofarbnej bramą* i wiara kochanka-poety, że *z tęczy wyszła i z potoku piany,* to nietylko obraz poetycki, plama barwna malarza, to absolutna wiara poety *(wierzę do końca)* w objawienie się świetlanego ducha, zaklętego w ciało przez tęczową moc i wyobraźnię przyrody. Kochanka — to jedna z cór duchów przyrody. Wyborną interpretację tego nastroju (który wyraża w. 19) — powiada J. G. Pawlikowski — daje Syberyna w fragmencie dramatu *Krakus:*

Czy my jesteśmy, ojcze, w jakich stronach
Zaczarowanych?... Pokaż mi istotę,
Którą ja kochać mam — bo już się kocham...
Już zakochałam się ojcze w kolorach,
W ciepłem powietrzu, co powiewa wonne
I księżycowi chłód odbiera z twarzy...

Słowacki miał przedziwną zdolność czy właściwość barwnego widzenia i słyszenia, syntetyzującego istotę zjawiska, osoby czy uczucia w jakiejś jednej barwie. Wiadomo, w jakich barwach widział *Makbeta* i *Sen nocy letniej* Szekspira n.p. Każda zaś taka barwa zarazem »gra i płonie«. Tworzą się jakieś barwne muzyczne poematy, niby nieuchwytne lśnienia »rozlewnej« wyobraźni poety, bez kształtu i bez tła. Nie pytamy o kontur zjawiska czy człowieka, mówi do nas ich istota, nie przez ruch czy usta, ale jej barwą czy tonem.

A za tym zmysłem, co kochać przymusza,
Poszło i serce, a za sercem dusza.
I tak się zaczął prędko romans klecić,
Że chciałem do niéj przez kaskadę łecić;
Bo się lękałem, że jak widmo blade,
    Nim dusza ze snu obudzona krzyknie,
Upadnie w przepaść, w tęczę i w kaskadę,
    I roztopi się i zgaśnie i zniknie;
I byłem jak ci, co się we śnie boją,
Bo jużem kochał, bo już była moją.
I tak raz piérwszy spotkałem ją samą,
Pod jasną tęczy różnofarbnéj bramą;
Powiew miłości owiał mię uroczy,
Stanąłem przed nią i spuściłem oczy.

III.

Poszedłem za nią przez góry, doliny.
I szliśmy razem u stóp téj lawiny,
Gdzie śnieg przybiega aż do stóp człowieka
    Spłaszczoną płetwą, jak delfin olbrzymi;
    Para mu z nozdrza srebrzystego dymi,
A Rodan z paszczy błękitnéj ucieka.
Pamiętam chwilę... poranek był skwarny.
Tameśmy szmerem spłoszyli dwie sarny;
Te, jakby szczęścia ludzkiego świadome,

w. 27: *A za tym zmysłem...* Uczucie rodziło się więc w oczach, za któremi *szło serce i dusza;* było więc nakazem rozkochanych w pięknie oczu, wyobraźni.

w. 31: Poeta z rozmysłem podkreśla nierealność zjawy, uroczystą rytmiką wiersza wywołując *widmo blade*, które jak senne widzenie roztęsknionej duszy zgasnąć może nagle pod zbyt ostrem światłem dnia.

w. 42—46: Rodan wypływa z lodowca (Rhone-Gletscher), rozciągającego się tarasami około 10 kilometrów. Żywej wyobraźni poety lodowiec przedstawia się jako olbrzymi delfin, z którego nozdrzy dymi para, a z którego błękitnej paszczy wypływa Rodan.

Stanęły blisko, złote, nieruchome;
I utopiły oczów błyskawice
W kochanki mojéj błękitne zrennice;
I długo patrząc, nieruchome obie,
Głowy promienne pokładły na sobie.
Rzekłem: — one się zakochały w tobie!
Rzekłem — i za to z ust zamkniętych skromnie
Najpiérwszy uśmiech jéj przyleciał do mnie,
Przyleciał szybko i wrócił z podróży,
Do swego gniazda, do pereł i róży;
A gdy zobaczył, że oczów nie mrużę,
Całą jéj białą twarz zamienił w różę.
A wiecie? ani tak za serce chwyta
Rumieniec kwiatu, co świéżo rozkwita;
Ani tak oko wędrówca zachwyca
Gór nadalpejskich śnieżysta dziewica,
Kiedy od słońca różane ma lica:
Jak ten rumieniec bez wstydu i grzéchu,
Co się na twarzy urodził z uśmiéchu.

IV.

Odtąd szczęśliwi byliśmy i sami,
Płynąc szwajcarskich jezior błękitami,
I nie wiém, czy tam była łódź pod nami;
Bom z duchy prawie zaczynał się bratać,
Chodzić po wodach i po niebie latać,
A ona tak mię prowadziła wszędzie!
Ach! ona była jak białe łabędzie,
Była jeziora błękitnego panią;

---

w. 65: *Gór nadalpejskich śnieżysta dziewica*... to Jungfrau, szczyt w Alpach berneńskich.

Płynęła lecąc — łódź leciała za nią,
Za łodzią jasność szafirowym szlakiem,
Za tą jasnością rybek korowody,
I wyrzucały się aż do niéj z wody;
I z takimeśmy płynęli orszakiem,
Uśmiéchając się w błękitu krainie.
Bo ona była jak wodne Boginie:
Miała powozy z delfinów, z gołębi,
I kryształowe pałace na głębi,
I księżycowe korony w noc ciemną...
I mogła była, co chce, zrobić ze mną.

V.

Raz — że nie była niebieskim aniołem,
Myślałem całe długie pół godziny;
Wyspowiadałem się potém z téj winy —
Słuchajcie! — Oto przed Tella kościołem
Piérwsza na kamień wyskoczyła płocha
I powiedziała mi w głos, że mnie kocha,
I odesłała mnie znów na jezioro;
Łódkę mą piersią odtrąciwszy białą...
A ja — ach nie wiém, co się ze mną stało!
Czy mnie anieli do nieba zabiorą,
Czy grzmiące fale jeziora pochłoną,
Czy uśmiéchami rozrywa się łono,
Czy serce jak lód rozegrzany taje,
Czy dusza skrzydeł anielskich dostaje,
Czyli w nią wstąpił cały anioł złoty?
Czyli uśmiéchów pełna? czy tęsknoty?

w. 91: *Oto przed Tella kościołem...* Kaplica Wilhelma Tella, zbudowana na pamiątkę oswobodziciela Szwajcarji nad brzegami jeziora Czterech Kantonów, u stóp góry Axenberg.

Wszystkie uczucia gwałtownémi loty
Na serce spadły, jak gołębi chmura,
Pić łzy i białe w nim obmywać pióra,
Aby się czyste rozlecieć po niebie...
Wtém zawołała łódź ze mną do siebie.
Usłyszała ją łódka i spostrzegła,
I sama do niéj z błękitu przybiegła.

VI.

Pod ścianą ze skał i pod wieńcem borów,
Stoi cichości pełna i kolorów
Tella kaplica. Jest próg tam na fali,
Gdzieśmy raz piérwszy przez usta zeznali,
Że się już dawno sercami kochamy:
A pod tym progiem są na wodzie plamy
Od sosen, co się kołyszą na niebie,
I od skał cienia; gdzie mówiąc do siebie,
Wbite do wody trzymaliśmy oczy.
A pod tym progiem, fala tak się toczy,
I tak swawolna i taka ruchoma,
   Że wzięła w siebie dwa nasze obrazy
I przybliżała, łącząc je rękoma,
   Chociaż nas tylko łączyły wyrazy.
Ach! fala taka szalona i pusta!
Że połączyła nawet nasze usta,
Choć sercem tylko byliśmy złączeni.
Fala tak pełna ruchu i promieni,
Że jednem światła objąwszy nas kołem,

---

w. 115: Wyznanie uczuć nastąpiło pod Tella kaplicą, która była *cichości pełna i kolorów,* nad ruchomą falą, która *szalona i pusta... zmięszała niby anioła z aniołem,* budząc w aniołach... człowieka. Naturalne prawo przyrody!

Zmięszała niby anioła z aniołem.
Gdy myślę — boleść dręczy mię nieżmierna.
Falo! niewierna falo! — i tak wierna!

VII.

Raz mię ów anioł zaprowadził złoty,
Przez jasne łąki do lodowéj groty.
Tam ją obielił dzień alabastrowy;
I mróz na czole méj jasnéj królowéj
Perłami okrył wszystkie polne róże;
I ze sklepienia łzy leciały duże;
A we łzach sylfy z jasnością ogromną
Deszczem spadały, na białą i skromną.
Słysząc, że ściany płaczą coraz głośniéj,

---

w. 41—132: Ustępy III, IV, V i VI — to jakby malarsko-muzyczna projekcja rozkochanej duszy, błękitno-biały hymn płonącej wyobraźni romantycznego poety, która anioła widziała w kochance i sama *z duchy zaczęła się bratać, Chodzić po wodach i po niebie latać*. Cudownie piękne *widmo* rzuciło sugestywny czar na duszę kochanka-poety, *że poszedł za nią przez góry, doliny — I szli tak razem u stóp tej lawiny...*, *jak dwie mary dziwne*, obie *z promienia, bez wstydu i grzechu... jak dwa — żywe — sny o szczęściu*.

Oczywiście dominujący wpływ na taką »koncepcję« kochanki wywiera przyroda, która — jak sam powiada w liście do matki — »wpłynęła wiele na wewnętrznego we mnie anioła«. Nakazy przyrody odczuwał poeta zawsze. N.p. jesienna »myśl śmierci« przelała się w duszę Kordjana jako kategoryczny, despotyczny imperatyw. Poeta wierzy, że jego kochanka, *pani błękitnego jeziora, była jak wodne boginie* i miała *kryształowe pałace na głębi;* że miała władzę nad przyrodą — i jako przyroda, mogła i ona *co chce, zrobić ze mną*. Nie jest to więc tylko czar kobiecości, ale zarazem czar przyrody.

w. 134: Wspomnienie prawdopodobnie Rosenlauen (Rosenlaui), gdzie poeta widział »prześliczne *glacier*«, gdzie był »w lodowych gmachach pod sklepieniami błękitnego kryształu«, ...gdzie »ze ścian gmachów, w których stałem, kropliste od słońca spadały deszcze« (Genewa, 21 sierpnia 1831 r.).

w. 139: *Sylfy*, inaczej Sylvani, Penaci, Lemury, zwały się w politeistyczno-panteistycznym systemie zwolenników Paracelsa — duchy powietrzne, które na wzór innych żywiołowych duchów były niejako pośredniem ogniwem pomiędzy istotami materjalnemi a duchowemi. Równie jak ludzie — jadły, piły, mówiły, chorowały, dzieci rodziły, tem jednak zbliżały się do duchów czystych, że były szybsze, przejrzystsze i sprężystsze od jakiegobądź ciała zwierzęcego, a stąd lepiej i łatwiej znać mogły obecność i przyszłość — i nie dawały się pochwycić, uwięzić.

Cała się szatą okryła zazdrośniéj,
I wszystko oczom ciekawym ukradła,
I jeszcze ręce skrzyżowane kładła
Na alabastry widne, choć zakryte.
Tak nieruchoma stała — a koło niéj
Igrały tęcze w blaski rozmaite.
Ja wtenczas modlić się zacząłem do niéj.
Ave Maria!
Jak biała róża, kiedy się rozwija,
Róż pokazuje z piersi odemkniętéj;
Taki rumieniec wyszedł z lica świętéj.
I zamyślona odwróciła głowę,
Palec na ściany kładąc kryształowe;
Jak ta, co imie ukochane kryśli,
Lub o błękitnych jakich myślach — myśli.
Wreszcie się do mnie obróciwszy, rzekła:
Może za miłość ja pójdę do piekła,
I gdzieś w piekielne wprowadzona chłody,
Wszczepioną będę w kryształowe lody,
Jako ta bańka z powietrza i z tęczy...
Lecz prawda, rzekła: jeżeli się męczy
Ta jasność, słońca stworzona promieniem,
Którą lód w sobie mrozi i zabija:
Można ją z lodu uwolnić westchnieniem...
Ave Maria!

---

w. 166: Cały ustęp VII ogromnie delikatny w pomyśle scenerji i nieporównanie subtelny w grze uczuć obojga kochanków. Mężczyzna-poeta, patrząc na swoją »jasną królową« na tle płaczących ścian alabastrowych, ubiera jej głowe w tęczowe około świętości, cały w modlitwie rozkochanego wzroku i ust; kochanka, jakby w nieświadomych jeszcze przeczuciach grzechu, który »rumieńcem wyszedł z lica świętej«, z początku »zamyślona«, później westchnieniem pragnąca uwolnić z lodu (konwenansów) słoneczną jasność (wzajemnego oddania się sobie duchów), stworzoną promieniem (miłości), *którą lód w sobie mrozi i zabija.*

VIII.

Pójdziemy razem na śniegu korony!
Pójdziemy razem nad sosnowe bory,
Pójdziemy razem, gdzie trzód jęczą dzwony!
Gdzie się w tęczowe ubiéra kolory
Jungfrau, i słońce złote ma pod sobą;
Gdzie we mgle jeleń przelatuje skory;
Gdzie orły skrzydeł rozwianych żałobą
Rzucają cienie na lecące chmury;
O! moja luba, tam pójdziemy z tobą.
A jeśli z takiéj nie wrócimy góry,
Ludzie pomyślą, że nas wzięły duchy,
I gdzieś w niebieskie uniosły lazury;
Żeśmy się za gwiazd chwycili łańcuchy,
I ulecieli z pelejad gromadą.
I tylko po nas potok spadnie głuchy,
I błyszczącą się łez rzuci kaskadą.

---

w. 167—182: Jest to parafraza wiersza, wpisanego do albumu Marji Wodzińskiej, powtórzonego w odmiennej nieco redakcji w liście do matki z d. 7 marca 1835 r. Różnią się zaś tem między sobą, że wiersz w albumie jest wspomnieniem szczęścia i cudu, uświadomieniem sobie przez poetę rozstania i przeczuciem... zapomnienia przez kochankę; ten zaś VIII ustęp poematu jest bezpośrednim zwrotem do kochanki (zupełnie naturalnym artystycznie i psychologicznie ze względu na sytuację), uroczystem wezwaniem kochanki w baśniowy kraj... zdala od ludzi. Różni je nadto zakończenie, które tutaj jest poetycką stylizacją (organicznie związaną z ogólnym pomysłem), z właściwym Słowackiemu »motywem odlotu« obojga, niby dwu świetnych gwiazd, *z plejad gromadą*, po których niebo pocznie płakać *łez kaskadą*.

w. 180: *Pelejady* — właśc. Plejady, córy Atlasa i Plejony, w liczbie siedmiu. Po stracie sióstr swych, Hyjad, czy też wskutek niedoli ojca, zadały sobie śmierć, za co je Jowisz, przemienione w 7 gwiazd, umieścił na niebie. Inne podanie robi je towarzyszkami Artemidy, ściganemi razem z matką przez strzelca Oriona. Na jej prośby, zamienione zostały w gołębice i przeniesione następnie na niebiosa. Zbiorową ich nazwę wywodzą od greckiego słowa πλεῖν — płynąć, gdyż żegluga poczynała się ze wschodem 7 gwiazd w dniu 11 maja, a kończyła z ich zachodem dnia 26 października.

IX.

Ach! najszczęśliwsi na ziemi nie wiedzą,
Gdzie duchy skrzydła na ramiona kładną,
Gdzie jak łabędzie zadumane siedzą?
Ach! najciekawsi na świecie nie zgadną,
W jakim szalecie żyłem z moją miłą;
I wiele nam róż do okien świéciło,
I wiele wiszeń naokoło rosło,
Ile słowików na wiszniach się niosło;
Ile tam w każdą noc miesięczną, bladą,
Kłóteń słowików płaczących z kaskadą;
Ile trzód naszych szło na łąkach dzwonić...
Ach! tego nawet śpiącym nie odsłonić,
Ani pokazać, ani zawrzéć w słowie...
Łąka i szalet i wisznie w parowie,
W takim parowie, że stróż anioł biały
Rozwijał skrzydła od skały do skały,
I nakrywał ten cały parów dziki,
Szalet i róże i nas i słowiki.

X.

Lecz nadto było cyprysowéj woni,
I nadto barwy, co się w różach płoni;

---

w. 187: *szalet* — (franc. *châlet*), chatka, domek szwajcarski.

w. 200: Ustep IX. Poszczególne ustępy nie łączą się w całość chronologicznie po sobie następujących epizodów, składających poemat-życie, ale są jakby odwracaniem kart tego poematu i zatrzymywaniem się przy scenach, których *najszczęśliwsi na świecie nie zgadną*. Dusza poety śpiewa najsubtelniejszemi i najświetniejszemi zarazem barwami snów i tęsknot, które wyobraźnia zaklęła w mleczne szkła »urojeń i marzeń«. Akcji właściwie niema; poeta nie maluje żadnej sceny, nie śpiewa nawet krótkiej, płynnej melodji palącego się uczucia, sugestjonuje tylko słowami (w. 183, 186, 194—195) wielkość nadludzkiego szczęścia, każąc je odtworzyć sobie czytelnikowi. Scenerja raju, nad którym jeszcze *stróż anioł biały rozwijał skrzydła*, fascynująco piękna, kusząca... Rolę kusiciela spełnia przyroda.

I chciała nas już miłość ująć zdradą —
Było to rankiem — pomnę — pod kaskadą —
Byliśmy niczém niestrwożeni — sami —
Czytając książkę pełną łez, ze łzami.
Wtém duch mi jakiś podszepnął do ucha,
  Ażebym na nią z książki przeszedł okiem. —
Była jak anioł, co myśli i słucha —
  I nagle — takim przejrzystym obłokiem
Rumieniec smutny twarz jéj umalował,
  Że nie wiém dotąd, jak się wszystko stało;
Ałem ją w usta różane całował,
  I czułem ją tu, na mych rękach, białą,
Sercem bijącą, brylantową w oczach.
Wtém nagle — w jasnéj kaskady warkoczach
Coś pomięszało się i coś urzekło;
Wiatr na nas rzucił całe wodne piekło,
I z kwiatów spłoszył wilgotnemi mgłami. —
Odtąd jużeśmy nie czytali sami.

XI.

Odtąd w uśmiechach była dla mnie rzadsza,
Smutniejsza, cichsza i bielsza i bładsza.
W głębszych się coraz zanurzała cieniach,
I obrywała róże na strumieniach;

---

w. 204—206 (także wiersz 220): podobna scena w *Piekle* Dantego, której bohaterami Franceska z Rimini i Paolo Malatesta. — W. 205 odpowiada słowom Franczeski: *sami byliśmy i bez obawy żadnej*, w. 220 zaś jest parafrazą słów: »Tego dnia jużeśmy dalej nie czytali«.

w. 220: Ustęp X. Paraliżująca wolę mocna woń cyprysów i namiętny karmin róż zarzuca delikatne, niewidzialne sieci. W kochanku-poecie, rozkochanym dotychczas w pięknie — budzi się mężczyzna, coraz zaś żywsze przeczucia kochanki poczynają zamieniać twarz w płonącą różę. Chwila budzących się zmysłów odtworzona z niezmierną delikatnością. Subtelność muzycznej tkaniny równa mistrzowskiej robocie przędziwa lidyjskiej Arachny, tkanego z promieni wyłaniającej się z morza jutrzenki.

Albo przy kaskad naciągniętéj lutni
Stawała słuchać tak, jak ludzie smutni,
Z twarzą spuszczoną; lub sama w ustroni
  Ręce na białą zakładała szyję,
Jak ta, co boi się, albo się broni.
  Lub jako gołąb, co w strumieniu pije,
Do nieba jasném wzlatywała okiem.
Już wolnym, sennym błąkała się krokiem,
I jaskółeczek utraciła zwinność,
I zadumała ją całą — niewinność.

XII.

Widząc ją taką, chciałem bronić siebie,
I rzekłem: Luba! jak Bóg jest na niebie,
Z sercaś mi wszystko odpuścić powinna;
Lilija jedna wszystkiemu jest winna.
Otoś ty wczoraj w tém źródle, co bije,
Na jasnéj łące, myła twarz i szyję;
A tam za tobą prosta, niedaleka,
Jak służebnica, co z rąbkami czeka:
Lilija jedna cała jasna, w bieli,
Oczekiwała, aż wyjdziesz z kąpieli.
Widząc was obie takie białe, w parze,
Myślałem, że śpiąc o aniołach marzę;
I drżéć zacząłem i zadrżałem wszystek,
I jeden tylko poruszyłem listek;
Ten listek inne poruszył listeczki,
I szmer się zrobił — ty wybiegłaś z rzeczki;
I takeś prędko uciekała zlękła,
  Żeś łonem kwiatu potrąciła pręty;
I lilijowa wnet łodyga pękła,

I kwiat z niéj upadł twoją piersią ścięty;
A jam rozważać zaczął z twarzą bladą,
Jak ten kwiat kruchy, jak ty jesteś zwinna.
I oto dzisiaj, rankiem, pod kaskadą —
Nie jam był winien — lecz lilija winna.

XIII.

Płonęła wonna jak kadzidło mirry,
I widać było, że nie wiedząc płonie.
Głębszemi oczu stały się szafiry,
I prędsza fala białości na łonie,
I dziwnym ogniem rozpalone skronie
Wczesne zwiędnienie dawały bławatkom.
Ona z tych była, co się skarżą matkom,
I skarżyła się gwiazd cichéj gromadzie,
Gdy do snu księżyc niepełny się kładzie;
Gdy kwiaty szepcą miłośnie do ucha,
Co zamyślone, własnych myśli słucha.

XIV.

Czy ty gdzieś teraz, o! miła, z rozpaczą,
Aniołom Boskim mówisz rozżalona?

---

w. 221—269: Ustępy XI, XII, XIII — to wielka walka człowieka z niezłomnemi prawami przyrody; olbrzymi dramat broniącei się duszy, która czuje, że wszelka walka jest bezcelową. Gama wstających i znikających uczuć tak rozległa, jak rozległą jest granica pomiędzy życiem i śmiercią. Kilku zaledwie barwami i ruchami mistrzowsko oddany smutek i niepokój anielskiej duszy dziewczyny, zostającej pod wpływem magnetyzującego wzrokiem »węża«; duszy, walczącej przeciw nadziei ostatkiem sił świadomości, gdy ciało płonie *jak kadzidło mirry...*, »głębszemi oczu stają się szafiry... I dziwnym ogniem rozpalone skronie«. Równocześnie zaś pożar szału, obejmujący zwolna mężczyznę, który rozważać począł *z twarzą bladą — jak kwiat ten kruchy...* To już niedający się nawet określić wyraz fenomenalnej pewności »wewnętrznego widzenia«, nadludzkiej zdolności bezpośredniego rewelowania duszy. Nie znamy nic prawdziwszego i nic piękniejszego nad to miejsce.

Jak ci, co mówią skarżąc się — i płaczą,
Że była burza gromami czerwona,
Że była grota posępna i ciemna,
I grocie z kaskad kryształu zasłona;
Że była trwoga w ciemności tajemna,
Razem niepamięć jakaś Boskiéj kary;
I skarga smutna czystych Nimf, podziemna;
Że nas tam samych dzień odstąpił szary,
I zastał z twarzą ognistą przy twarzy.
I ptaszął nas tak obudziły gwary.
Mówisz ty o tém? jak ta, co się skarży?
O! nie mów ty tak aniołom! niebieska!
Bo każda twoja brylantowa łezka
Jednemu będzie z tych jasnych pożarem.
Bo ja, ach, gdybym był także aniołem,
Z rozpromienioném na błękitach czołem,
I nieskończoność całą miał obszarem,
I mógł zarządzać gwiazdami wszystkiemi:
Nie chciałbym gwiazdy niebieskiemi świecić.
Lecz tylko rzucić błękity i lecić,
I taką jak ty mieć moją — na ziemi.

---

w 292: Ustęp XIV. Cała akcja poematu wogóle, tego zaś ustępu w szczególności, stwierdza najoczywiściej, że poecie nie chodziło najzupełniej o romans rzeczywisty, czy nawet urojony, t. j. o powieściową realistyczną fabułę, osnutą tę zami wyobraźni; owszem dowodzi, że Słowacki z całym rozmysłem przenosi »akcję« poza świat zjawisk i wypadków »realnych«, w sferę intuitywnie odtwarzanych uczuć. I to jest powodem tej »liljowej czystości« poematu, mimo że »dzień szary« zastał kochanków z *twarzą ognistą przy twarzy*. I dlatego nie obchodzą nas najzupełniej szczegóły życia, interesują nas tylko stworzone dla siebie dusze mężczyzny i kobiety, reagujące na pokuszenia ciał, w które wplątało je życie. Interesuje nas walka człowieka z prawami przyrody, która jest mocna jak życie i śmierć. Poemat jest nie stylizowanym czy idealizowanym obrazem fenomenów ziemskiego życia, ale »objawieniem pozafenomenalnego, wewnętrznego życia«, odtworzonego przez artystę zapomocą scen czy faktów najbardziej — powiem — typowych, jakgdyby oderwanych od czasu i miejsca. Zapewne:

XV.

Z groty ta piękna wyjść nie śmiała sama.
Słońca się może bała na lazurze,
Że za promienne będzie i za duże,
Albo że będzie jako czarna plama.
Ale na niebie była z tęczy brama,
Na wypłakanéj rozwieszona chmurze.
Wyszła. — I naprzód ją zdziwiły róże,
Że takie były jak wczoraj różowe.
Zerwała jedną i podniosła głowę,
I zadziwiła ją ta tęcza ranna,
Niebios błękitnych przezroczystość szklanna,
Krążek księżyca tonący w błękicie.
Zda się, że nowe ją zdziwiło życie,
Tak w ciszy czegoś słuchała, tak biegła;
Aż gdzieś w krysztale jeziora spostrzegła
Na licu swojém przezroczystszą białość,
Żywszy ust koral, i większą omdlałość,
I uśmiéch pełny tęsknoty, i żałość.
Więc osłoniła się cała w warkoczu,
I więcéj na mnie nie podniosła oczu.

»akcja« odbywa się pod tęczową kaskadą Aaru, w szalecie, czy w grocie lodowej, ale czy jest chociażby jeden dokładnie sprecyzowany szczegół lokalny? To, co się w poemacie dzieje, ma »charakter metafizyczny«: Słowacki chce przedstawić i przedstawia »absolutną treść« uczucia miłości, owo »wyobrażenie ogromnej miłości«, ujęte w kształt »rewelatorstwem muzyki«.

w. 312: Ustęp XV. Mistrzostwo Słowackiego-psychologa i Słowackiego-artysty zdaje się potęgować z każdym wierszem, jeśli to wogóle możliwe, choćby po ustępie VII czy XI. Niepokój duszy, w której dokonał się tragiczny przełom — pewnej, że go zobaczy w tej samej sile i tragizmie katastrofalnych zmian w przyrodzie, a zdziwionej, że *róże były jak wczoraj różowe* — prawdziwy w każdym szczególe, a wyrażony słowami, które przestają być formą, a stają się same bezpośredniemi ruchami i głosami duszy.

XVI.

Jest chwila, gdy się ma księżyc pokazać,
Kiedy się wszystkie słowiki uciszą,
I wszystkie liście bez szelestu wiszą,
I ciszéj źródła po murawach dyszą;
Jakby ta gwiazda miała coś nakazać,
I o czém cichém pomówić ze światem,
Z każdym słowikiem, z listeczkiem i z kwiatem.
Jest chwila, kiedy ze srebrzystą tęczą
Wychodzi blady pierścionek Dyanny:
Wszystkie się wtenczas słowiki rozjęczą,
I wszystkie liście na drzewach zabrzęczą,
I wszystkie źródła jęk wydają szklanny;
O takiéj chwili, ach, dwa serca płaczą,
Jeśli coś mają przebaczyć — przebaczą;
Jeżeli o czém zapomnieć — zapomną.
O takiéj chwili z moją panią skromną,
Już'eśmy siedli w naszych progach sielskich,
Już rozmawiali o rzeczach anielskich.

XVII.

Jak śpiewający na niebie skowronek,
Z gór słychać było pustelnika dzwonek.
Rzekła raz: Chodźmy do staruszka celi,
Może rozgrzeszy, może rozweseli,

---

w. 321: *blady pierścionek Dyanny* — księżyc.

w. 331: XVI i XVII. Odczuwając sam na sobie olbrzymi wpływ przyrody (zaznaczony choćby na tylu miejscach listów do matki), nic dziwnego, że rolę anioła-koiciela duszy powierzył Słowacki przyrodzie, co, będąc w zgodzie z prawdą, staje się nadto cudownem zakończeniem artystycznem sielanki tragedji. Zaczął ją poeta promieniami wschodzącego świtu słońca i miłości, pośród bajecznych uśmiechów przyrody — zakończył zaś chwilą, *gdy się ma księżyc ukazać*, gdy *słońce czerwone o zachodzie*, wśród białych śniegów i chmur, *kiedy na palec jej zimny jak z lodu Kładłem pierścionek...*

Dłonie nam związe i kochać ośmieli.
Tak mówiąc, wbiegła do sosnowéj chaty,
Szybko zamknęła wszystkie okienice,
Ażeby na nią nie patrzały kwiaty;
I ustroiwszy się jak gór dziewice,
Wybiegła do mnie — myślałem, że padnę!...
Ani jéj oczy kiedy takie ładne,
Ani jéj usta takie były świeże.
Motyla miała czarnego na głowie,
Ten alabastrów od smagłości strzeże;
I przeświecony od słońca w półowie
Na czoło rzuca skrzydła cieniu duże;
A pod motylem pochowane róże,
Z pod czarnéj gazy patrzały ciekawe,
Napół zamknięte, świéże, jeszcze łzawe;
Wiedząc, że zawsze strzegę serca strony,
Złośliwy motyl usiadł przechylony.
Myślałem, że mu to skrzydło połamię...
Siadł i na lewe przechylił się ramię.
I któżby wierzył w przeczucia, co straszą,
Gdy wyobraźnia cała szczęściem dumna!
Gdym z góry spójrzał na dolinę naszą,
Szalet się oku wydawał jak trumna,
Maleńki, cichy, kiedym spojrzał z góry:
Nasz ogród z wiszeń jak cmentarz ponury;
I niespokojne o nas gołębice,
I zadumane o nas w łąkach trzody;
Ziemia smutniejsza, błękitniejsze wody,
Zabite śmierci ćwiekiem okienice;
Wszystko zaczęło mię straszyć i smucić,
Jakbyśmy nigdy nie mieli powrócić.

Szedłem posępny i drżący na góry...
Jeziora czarne, głazy, śniegi, chmury,
Girlandy z orłów na błękitnym lodzie,
Słońce czerwone jak krew o zachodzie,
Dom pustelnika śniegiem przysypany,
I dwa ogromne na straży brytany,
Krzyżyk na celi, gdzie siadały gile,
Cela, pustelnik stary, księgi w pyle —
Wszystko to dzisiaj już podobne snowi...
Pamiętam tylko, że promień zachodu
Cały się na twarz rzucał Chrystusowi,
Kiedy na palec jéj zimny jak z lodu
Kładłem pierścionek . . . .
. . . .

XVIII.

Gaje! doliny! łąki i strumienie!
O, nie pytajcie wy mię smutne o nią.
Są łzy, co mówić na zawsze zabronią.
A kiedy mówię, wpadam w zamyślenie;
I widzę jasne, błękitne spojrzenie,
Co się zaczyna nademną litować,
I widzę usta, co mię chcą całować,
I drżę — i znów mię ogarną płomienie.
I nie wiém, gdzie iść? i gdzie oczy schować?
I gdzie łzy ukryć? i gdzie być samotnym?
I staję blady i kreślę jéj rysy;
Lub imie piszę na piasku wilgotnym;
Lub błądzę między róże i cyprysy,

w. 370—373: to poetyckie przetworzenie rzeczywistości, opisanej w liście z dnia 21 sierpnia 1834 r.

Jak człowiek, który drogi skarb postrada,
Zmysły utracił, i płacząc usiada
Tam, kędy urny na grobowcach siedzą,
Myśląc, że groby o niéj co powiedzą.

XIX.

Jest pod mojemi oknami fontanna,
Co wiecznie jęczy zapłakanym szumem;
Jest jedne drzewo, gdzie harfowym tłumem
Żyją słowiki; jedna szyba szklanna,
Gdzie co noc blada zaziera Dyanna,
I czoło moje smutnym blaskiem mami.
I tak mię budzą zalanego łzami,
Te drzewo, księżyc ten, i ta fontanna.
I wstaję blady, przez okno wyziéram,
Słuchając różnych płaczów na dolinie.
Słowiki jęczą i fontanna płynie,
Mówią mi o niéj — ja serce otwiéram
I o śmierć prędką modlę się z rozpaczą,
I schnę, i więdnę — i ach, nie umieram...
I co dnia budząc mnie, fontanny płaczą.

XX.

Kiedy się myślą w przeszłości zagłębię,
Nie wiém, jak sobie jéj postać malować?
Czy kiedy przyszła śpiącego całować,
Jak z roztwartemi skrzydłami gołębie?
Czy wtenczas, kiedy uciekała trwożna?
Czy gdy na jedną ze mną księgi kartę
Wbijała oczy błękitne, otwarte,
Na każde moje spójrzenie ostrożna?

Czy kiedy wiejskim otoczona dworem
Chodziła gdyby zaklęta królowa?
Czy kiedy cicho uśnie pod jaworem?
Czy kiedy goni? czy kiedy się chowa
W księżyca blasku biała — lub wieczorem
Od Alp na śniegu różowych — różowa?...

XXI.

Skąd pierwsze gwiazdy na niebie zaświecą,
Tam pójdę, aż za ciemnych skał krawędzie.
Spójrzę w lecące po niebie łabędzie,
I tam polecę, gdzie one polecą.
Bo i tu — i tam — za morzem — i wszędzie,
Gdzie tylko poszlę przed sobą myśl biedną,
Zawsze mi smutno, i wszędzie mi jedno;
I wszędzie mi źle — i wiem, że źle będzie.
Więc już nie myślę teraz tylko o tem,
Gdzie wybrać miejsce na smutek łaskawe,

---

w. 425: Ustępy XVIII—XXI. Ustępy II—XVII — to przeszłość, jakby najświetniejsze perły uśmiechów i łez, nanizanych na krótką nitkę wspólnego życia kochanków, to bezpośrednie wprost, wtórne przeżywanie przeszłości; ustępy zaś ostatnie — to męcząca, ciągła świadomość, że przeszłość *zniknęła jak sen jaki złoty... i już nie wróci nigdy — o rozpaczy!!!*, oraz pragnienie odlotu *do tej zbawionej i do tej kochanki*.

W ustępie XVIII motyw ten sam, który stanowi treść II ustępu (w. 21—34) *Ojca zadżumionych*. Tylko tam — nieszczęśliwy Arab drży przed mającem go spotkać pytaniem pomarańczy, kwiatów i chmur, tu — jakby błaganie o odrobinę litośnego współczucia przyrody, o której poeta wie, że mu będzie matką, chociaż sama ulega niedającym się uniknąć prawom wieczystym.

Stosunek przyrody do człowieka cierpiącego zgoła inny w obu poematach. Tu ona płacze z nim razem, jak płacze matka lub siostra, świadoma straty i swojej własnej także. Kochanek pragnie oszukać ból samotności, przeto zagłębia się *myślą w przeszłości*, ale gdy zgasną błyskawice złudzeń, świadomość pustki powraca. »Więc już nie myśli teraz tylko o tem, Gdzie wybrać miejsce na smutek łaskawe«, pragnąc z zupełną świadomością odlotu za łabędziami, albo cichego odejścia duszy po złotym słupie księżycowego światła... Tam, w *Ojcu zadżumionych*, przyroda spokojna jak przeznaczenie, któremu nieszczęśliwy ojciec poddaje się bez protestu i bez jakiegokolwiek żądania.

Miejsce, gdzie żaden duch nie trąci lotem
O moje serce rozdarte i krwawe;
Miejsce, gdzie księżyc przyjdzie aż pod ławę,
Idąc po fali... zaszeleści złotem,
I załoskocze tak duszę tajemnie,
Że stęskni — ocknie się i wyjdzie ze mnie.

---

w. 440: Poemat kończy się tym samym motywem, którym się zaczął. Stęskniona za kochanką dusza poety miała chwilę złudnego przeżywania szczęścia, które zgasło. A kiedy zgasło raz wtóry, nawet jako złudzenie, wróciły żal i tęsknota, wróciło pragnienie śmierci. I tem różni się zakończenie *W Szwajcarji* od zakończenia *Ojca zadżumionych*. Nic zaś dziwnego, bo przecie biegunowo różne dusze bohaterów obu poematów, bo inny charakter baśniowego poematu *W Szwajcarji*, inny prawdziwego, ponurego poematu pustyni.

WACŁAW

Są przedmioty, którychby się pióro poety tknąć nie powinno; takim zapewne jest śmierć Wacława, którego nam Antoni Malczewski tak cudownemi kolorami w poemacie *Marja* odmalował. Jakiś jednak mimowolny pociąg, chciałbym go nazwać natchnieniem, zmusił mnie do napisania następnego poematu; a od prawdziwych nie odstępując podań, starałem się ile możności zidealizować rzecz pełną czarnych mętów i okropności. Może kilka strof spowiedzi Wacława wyjednają mi u czytelnika nieco pobłażającego sądu dla reszty i ogólnego układu pisma, którego już ani poprawić ani przemienić nie jestem zdolny; a dwa poprzedzające poemata przybiegną w pomoc broniącemu się od zupełnego potępienia poecie.

I.

Witaj mi, ziemio stepów gładka, cicha,
Gdzie kwiat dla Boga kwitnie i usycha;
Gdzie dwa kurhany na błękitném niebie
Przez całe stepy patrzą się na siebie;
Gdzie przerywają trupy sen grobowy,
Orłami z sobą prowadząc rozmowy;
Lub gdy je przyjaźń w mogiłach nie zbliża,
To krzyż się groźnie pogląda na krzyża,
I oba drewna niby grożą sobie
Przez całe stepy, zemstą śpiącą w grobie.
Krzyżowe groźby, i poselstwa ptaków
Lecą przez krwawe doliny bodjaków;
I czuć w powietrzu że tu myśli wojna,
Choć słońce złote, choć ziemia spokojna.
Bo choć się skończą rycerstwa i waśnie,
To ziemia mogił tak prędko nie zaśnie;
Ale w jéj sercu wolność się odzywa,
Kiedy się orzeł gdzie z mogiły zrywa,

---

w. 1: przypomina początek *Zofijówki* Trembeckiego:
Miła oku, a licznym rozżywiona płodem,
Witaj kraino, mlekiem płynąca i miodem.
w. 3: *kurhany* — nasypy na stepach Ukrainy i Rosji południowej. M. Grabowski był tego zdania, ze kurhany były sypane z jednej strony dla uczczenia zmarłych, z drugiej zaś mogły służyć w stepach za drogowskazy i jako stanowiska wojenne.
w. 12: *bodjak* — oset.
w. 13: Por. *Marji* pieśń I ust, VIII: »I głucho — tylko jakaś w powietrzu rozterka«.

Kiedy zatętni jaki wicher głuchy,
Gdy zaszeleszczą powojów łańcuchy;
Albo gdy śmignie jaki złoty sumak,
Myśli, że biały Puławskiego rumak;
Albo gdy kosa o kamień zadzwoni,
Myśli, że Sawa jedzie w tysiąc koni;
Ale już w grobach są ci sławo-kraśni.
Ziemio kurhanów, nie marz o nich — zaśnij!

II.

Znasz ty tęczowe Rusałek upiory?
Czy znasz prorocką dumę Wernyhory?
Czy wiész, co będzie w jarze Janczarychy,
Gdzie teraz gołąb, lub jelonek cichy,
Ze łzą przeczystą w szafirowém oku,
Gdzieś w księżycowym się przegląda stoku?
Czy wiész, że wszystkie te się sprawdzą śnicia
W jednéj godzinie rycerskiego życia?
Że zemścisz syna, ojca, matkę, brata,
W téj błyskawicy, co na szabli lata.
Niech tylko serce rycerza, o Chryste!
Jako lilija będzie we krwi czyste,

---

w. 22: *Pułaski* Kazimierz, znany konfederat barski, syn Józefa, starosty wareckiego, twórcy konfederacji.
w. 24: *Sawa*-Caliński (taki miał przydomek w konfederacji), kozak sympatyzujący z Polską, walczył po stronie polskiej pod Radomiem i Lublinem, a najwięcej uwijał się pod Płockiem. Ranny pod Szreńskiem, umarł na miejscu zwanem później grobem Sawy.
w. 27: *Rusałki* — są to boginki-widma z czasów przedchrześcijańskich.
w. 28: *Wernyhora*, kozak zaporoski, z wsi Dmytrówki za Dnieprem. Obdarzony darem proroczym, przepowiedział *koliszczyznę* i zjazd w Kaniowie. Uciekając przed niewdzięcznością włościan wioski Makiedonówki w Kijowszczyźnie, gdzie osiadł, schronił się na wyspę rzeki Rosi, dokąd udał się Suchodolski (właściciel starostwa korsuńskiego) i spisał to, co mu opowiedział Wernyhora. Przepowiadał on wielką bitwę zwycięską w jarze Janczarychy koło Kaniowa,

Niech tylko wprzódy nie splami zgryzota
Duszy, co jako ptak się w sidłach miotą;
Niechaj się tylko każdy dumnie waży
Złotym aniołem, w ojczyźnie na straży:
To chyba wkońcu, na takich Aniołów,
Wróg będzie piorun miał w ręku — nie ołów.

III.

Jeśli pod tobą wolny koń stepowy,
Omijaj zamek ten i te parowy;
Niech cię nie bawi ten na zamku czole
Napis, co błyska od słońca na pole:
Bo to jest kłamstwo marmurów ohydne,

---

w. 1—44 (ustęp I—II): spełniają do pewnego stopnia w stosunku do całości tę rolę, jaką w *Marji* Malczewskiego spełniają trzy pierwsze ustępy. Jest jednak wielka różnica. Pełna harmonji melancholja autora *Marji* odczuwa i oddaje muzycznie ogromny smutek stepów, na których »Tylko wiatr szumi smutnie, uginając kłosy; Tylko z mogił westchnienia...«, Słowacki wywoływa wprawdzie słoneczne echa przeszłości, »które duch dawnej Polski potomności chowa«, i zapowiada, »że wszystkie te się sprawdzą śnicia« (II, 33), ale zajmują go przedewszystkiem i wyłącznie »krzyżowe groźby i poselstwa ptaków«. Owszem, poeta ucisza wprost głosy rycerskiej przeszłości: »Ziemio kurhanów, nie marz o nich — zaśnij!« W słonecznej »błyskawicy, co na szabli lata«, przyszłość potrafi zemścić »syna, ojca, matkę, brata«. »Niech tylko serce rycerza, o Chryste! Jako lilija będzie we krwi czyste!« Ale to później, kiedyś... Smutek Malczewskiego z powodu »rozległego milczenia obszernych pól« przepaja cały poemat, mimo że pozornie treścią *Marji* jest wyłącznie indywidualna tragedja dwu rodów; u Słowackiego — przeszłość skończyła już swoją rolę...

Człowiek i przyroda w poemacie Malczewskiego, to naprawdę »jedna (czasem »dzika«) dusza«; tu nie mają ze sobą prawie nic wspólnego. Dwa pierwsze ustępy nie mają nadto żadnego, bezpośredniego ni pośredniego związku z Wacławem i duszą bohaterów poematu, są tylko jakby przeciwstawieniem »zdrowia« i szczerości stepów — kłamstwu i zgniliźnie zamku Wacława.

w. 45—72: Ustępy III i IV dają nam obraz zamku. Ustęp III maluje jego wspaniałą strukturę zewnętrzną na tle czarownej, *zdradzieckiej natury obłudy;* ustęp IV — ocenę plugawego i zbrodniczego jego wnętrza. Sąd o zamku narzuca nam sam poeta bezpośredniemi zwrotami do czytelnika czy słuchacza (w. 46, 52, 63), stopniując określenia jego zbrodniczości (w. 54, 55, 56, 65—72). Charakterystyczne: naturę psuje i plugawi człowiek (w. 64).

w. 49: *Bo to jest kłamstwo marmurów ohydne* — Ohydnem kłamstwem nazywa poeta napis na pałacu Potockich w Tulczynie: »By zawsze wolnych i szlachetnych był mieszkaniem«,

Złotem pisane i zdaleka widne.
Uciekaj stepem przez burzanu fale,
Nie wierz napisom, nie zazieraj w sale,
Bo tam owionie i męstwo ci zetrze
Gorsze niż w grobach — zdradziectwa powietrze!
Gorsze niż dżuma, co zabija ciało!
Gorsze! — Choć pałac ten wygląda biało,
Choć za nim widać lipy starożytne,
Białe kościołki, jeziora błękitne;
Chociaż łabędzie śpią na tych jeziorach;
Choć róże stoją w jutrzenki kolorach;
Chociaż słowiki mieszkają w topolach,
A dalej błękit i kłosy na polach:
Nie wierz zdradzieckiéj natury obłudzie,
Ten zamek pełny — w tym zamku są ludzie!

IV.

Od czasu jeszcze dawnych Pelopidów,
Od wygaśnienia rodziny Atrydów,
Nigdzie krwi tyle na gmachu kamieniach,
Nigdzie plam tyle od zbrodni w sumnieniach,
Nigdzie rodziny tak czarnéj nie było,

---

w. 51: *burzany* — Tak nazywają pospolicie na Pobereżu i Ukrainie wielkie kępy ziela, które na stepach tworzą — gdy zakwitną — jakby kolorowe wyspy. Mickiewicz nazywa je »koralowemi ostrowami« *(Sonety krymskie)*.

w. 65—6: *Pelopidowie* i *Atrydzi*. Legendowy ród Pelopidów—z dwoma głośnymi braćmi: Atreusem i Tyestesem. Spory ich i waśnie opowiada dopiero *Odysseja*. Późniejsi poeci zastanawiają się nad powodami tych waśni, podając jako powód współzawodnictwo o tron. Atreusz, udając pojednanie, zaprosił Tyestesa na ucztę i podał mu na stół ugotowane członki jego własnych dzieci. Po uczcie wyjawił bratu swój ohydny czyn, od którego, powiadają, samo słońce odwróciło wzrok. Tyestes poprzysiągł zemstę, ale sam jej dokonać nie mógł, przeto przekazał ją synowi, Egistowi. Atreusz, jako król Myken i Argos, pozostawił dwóch synów, powszechnie Atrydami zwanych, t. j. Agamemnona i Menelausa. Agamemnona zamordowała żona Klitemnestra, syn zaś Orestes pomścił śmierć ojca zabójstwem matki.

Tak czarnych prochów pod żadną mogiłą..
Chciałbym powiedzieć — W imie Ojca, Ducha!
Kto tak okropnéj powieści wysłucha?

V.

Choć w zamku gości częstują wspaniale,
Gospodarz dawno nie schodzi na sale.
Niegdyś widziano go w gromadném kole:
Jak trup śród ludzi, jak upior przy stole.
Zimne po sercach przechodziło mrowie,
Kiedy co mówił, gdy pił jakie zdrowie;
A gdy wziął kielich w rękę trupią, siną,
W kielichu krew się zdawała, nie wino.
Każdy, co z gości do stołu zasiadał,
Nie znał go prawie, nigdy z nim nie gadał;
Gdy wszedł — nie wstawał nikt przed tym człowiekiem,
Choć orderami był srebrny i wiekiem;
Ani posłane z poselstwem od matki
Kiedy go w rękę całowały dziatki;
Jakby przed marą piekielną, szkaradną,
Stają przed ojcem zalęknione; bladną,
I uciekają, nie wyrzekłszy słowa,
Lub kamienieją. Nie twarz to surowa —
Bo miłą miał twarz ten człowiek z natury;
Ani wzrok jego dziki i ponury —
Bo na swe dziatki patrząc, łzy miał w oku;
Lecz przerażenie z Boskiego wyroku
Wisiało nad nim, jako krwawa tęcza;
A gorzéj — wiedział to sam, że odstręcza;
Że coś pomiędzy nim a światem stoi,
Czego się sługa, dziecko, słońce boi.

Więc już oddawna zaniechał z rozpaczą
Przepraszać serca, które nie przebaczą;
Ujmować dusze, co chcą nienawidzić;
A nie mógł niémi pogardzać i szydzić.
Nawet choć wiedział, że tłumną hołotą
Rzucał się sprośny lud na jego złoto:
Tak wielką znalazł pokorę w swéj winie,
Że nie pogardził i otworzył skrzynie;
A wtenczas sercu jego biczem jędzy
Był brzęk liczonych po zamku pieniędzy.

VI.

Nareszcie uciekł od ludzi i słońca.
A przy nim tylko jak anioł obrońca
Maleńki, blady i nierozkwitniony
Był smutny synek jego pierwszéj żony.
To jedne dziecko przy nim czuwa, tleje,
Jako różyczka przy cedrze więdnieje.
On duszę ojca, gdy w rozpacz upada,
Szafirowemi oczkami spowiada;
I patrz! że czarny nędzarz nie unika
Tak błękitnego grzéchów spowiednika,
Ale mu z oczek cały błękit świeży
Pije oczyma, i wzdycha, i wierzy
W ostatnią pomoc — w moc dziecka pacierzy.
Kiedyś zawczesnym zagrożoną zgonem
Dziecinkę swoją nazwał Eoljonem;
Bo myślał, że ten kwiatek biały, kruchy,
Wezmą ze złotéj kołyseczki duchy
I w nieśmiertelne zaniosą ogniska;

w. 112: O synu takim nic nie wiadomo. Gdyby zresztą istniał, nie mógłby w chwili śmierci Wacława być *maleńkim* i *nierozkwitnionym*.

A więc mu nie dał ludzkiego nazwiska,
Ale powietrzne, duszy, nie popiołom
Imie, łatwiejsze wymówić aniołom.
Te dziecko jemu zostało przy boku
Ze łzą w zrenicy, z promionkami w oku;
Te czuwa przy nim. Lecz z wyroków Pana
Dusza w dziecięciu bladém obłąkana,
Smutna, i z ciałkiem niedołężném zwadna,
A w obłąkaniach jak aniołek ładna;
Gdy się uśmiécha — zda się, że do nieba;
Płacze — to myślisz, że mu tak potrzeba
Nad jaką dawną pamiątką, lub szkodą,
Jak zapłakanéj wierzbie stać nad wodą.
Tylko że ojcu, gdy mu dziecie zbladło,
W chorobie dziecka jest zgryzot zwierciadło;
Tylko że nieraz jakaś moc grobowa
Przekleństwo ojca kładnie w dziecka słowa;
Lub w obłąkane czynności dziecięce
Jakieś piekielne mięszają się ręce,
I straszne rzeczy czynią dziecka mocą —
I dziś — gdy Wacław zasnął — przed północą...
. . . .

w. 128—129: *powietrzne imie* — Eoljona imię zapewne utworzył poeta od boga wiatrów, Eola.

w. 73—147: Z ustępem V wprowadza nas poeta do zamku, który kipi biesiadną uciechą. Celem jednak poety jest nie obraz życia zamku, ale charakterystyka Wacława ze względu na przeszłość (ustęp V) i teraźniejszość (ustęp VI). W przeciwieństwie do Malczewskiego, który, przenosząc akcję do zamku, każe wojewodzie wziąć udział w biesiadzie, Słowacki odsuwa Wacława od ludzi, podając powody, dlaczego wszyscy stronią od niego. Dawniej, może niezbyt jeszcze dawno, zjawiał się nieraz w kole biesiadników, zjawiał się jednak jak *trup* i jak *upiór*, od którego szło na serca *zimne mrowie*. Nikt go nie znał, nikt z nim nie rozmawiał, uciekały od niego nawet dzieci, widząc oczyma duszy wiszącą nad nim jakąś *krwawą tęczę przerażenia*, którą wkońcu uswiadomił sobie sam Wacław. Nie mogąc uniżać się przed nikim prośbami o litość, ani *pogardzać i szydzić..., nareszcie uciekł od ludzi i słońca* (w. 109). Wiersze 99—102, doskonale związane z psychologją Wacława, są

VII.

Lecz gdzież jest młoda małżonka? Grafini?
Czemu nie przy nim? Dawniéj niewolnica,
Dziś samowładna w zamku monarchini;
Z kimże to błądzi po świetle księżyca?
Z kimże to słucha śpiewania słowików?
Dla kogoż rzuca ucztę, stołowników,
Dzieci i męża bezsenne węzgłowie?
A jednak, mówią, dba o grafa zdrowie,

---

niemal powtórzeniem tych wierszy, w które poeta zamyka jeden rys duszy Lambra: »Chroń się ty świata, — bo on nie był z nami W szczęścia godzinie, więc i dziś nie będzie; Bo przeciw wielkim czuciom on gniewliwy I nie przebacza tym, co toną w błędzie« (ust. IX). A, jak wiadomo, mówi to przez Lambra Słowacki sam o sobie.

Wacław zamyka się z jednym tylko towarzyszem, a *był — to — smutny synek jego pierwszej żony* — Eoljon. Imię to dał ojciec jego »duszy«, która była *z ciałkiem niedołężnem zwadna*. Pomysł Eoljona nieoryginalny; już dawno zobaczono w nim odbicie Orcia z *Nieboskiej komedji* Krasińskiego; jak zawsze jednak było z pomysłami obcemi, przetworzony przynajmniej formalnie, bardziej eteryczny, »powietrzny«, bardziej poetyczny i subtelniejszy w rysunku. Czyż może być bowiem rysunek bardziej delikatny, niż ten, który daje poeta w w. 850—862?

Jaka jest jednak rola Eoljona? Poeta powiada (w. 115—116), że Eoljon ratuje ojca w rozpaczy; że ojciec wierzy *w moc dziecka pacierzy*, a gdy się *twarz Grafa mroczy, Dwie białe róże kładł ojcu na oczy, Lub w obłąkaniu (o! jasne i wdzięczne Dziecka przysługi!) promienie miesięczne Od ojca wzroku brał na swoje lica I tak zesmutniał cały od księżyca* (w. 472—477); a jednak *jakieś piekielne mięszają się ręce I straszne rzeczy czynią dziecka mocą* (w. 145 – 146). Właściwie jednak nic on nie zmienia w losach Wacława, przynajmniej my o tem nic nie wiemy. Był chyba jedyną istotą, która go nie unikała i miała nad nim litość na ziemi, jak poza światem okazywali mu ją jedynie: pierwsza żona Marja i *ojciec krwawy*, których poeta wprowadza jako dwa cienie w chwili, gdy gasnące już niemal oczy Wacława dostrzegać mogą rzeczy pozaziemskie. Jest on jednak zarazem *zgryzot zwierciadłem dla ojca*, bo przypomina mu przeszłość, gdy się *darł do słońca*, bo widział w nim *swoje sny młodości złote, Zachwyty, miłośc, niepokój, tęsknotę*, która w dziecku stała się jakąś ogromną, nieukojoną tęsknotą i jakąś bolesną miłością, nie mogącą się o nic zaczepić. Widział w nim ojciec maleńkie ptaszę z połamanemi skrzydłami, w którego duszy tkwiła jak ostry cierń nieuświadomiona pamięć dawnych, przedziemskich lotów. Nieme były wargi i bezsilne skrzydła, które ożywiła dopiero i podniosła śmierć, iżby ta dusza odleciała tam, skąd przyszła. Jego jednego i przez niego jednego kochać mógł jeszcze ojciec życie, które było dlań męką nad męki.

w. 149: *Dawniéj niewolnica* — głośna Greczynka, żona Szczęsnego Potockiego, została istotnie kupiona jako niewolnica w Stambule przez hrabiego de Witt, komendanta Kamieńca, który ją poślubił a potem »odprzedał« Szczęsnemu.

Sama przyprawia mu z lekarstwem czary.
Nieraz przy łożu jak ulotne mary
Staje powiewna z lampą w ręku, blada
Słuchać, co śpiący o niéj we śnie gada.
A mówią ludzie, że nieraz jéj ręka
Słucha, czy serce się w chorym nie pęka;
Bo takie drgania mu piersi podnoszą,
Takie go zimne, straszne poty roszą,
Gdy śpi, a patrzy na śpiącego żona,
Jakby go anioł śmierci brał w ramiona.
Lecz dzisiaj z kimże na wieczornym chłodzie
Chodzi ta pani po mglistym ogrodzie?
Jeśli zbrodnicza miłość w sercu bije,
Ona się z taką miłością nie kryje,
Ale otwarcie, z bezwstydem na czole,
Kochanka sadza u boku przy stole:
Bo ten kochanek nie wybrany w tłumie,
Zwykle pochlebia jéj skażonéj dumie;
To jaki książe, to króla powierny:
Pies nań nie szczeka, przepuszcza odźwierny,
Wszyscy go nawet witają ukłonem;
Zamek jest jego łożem; domem, tronem
Włada; gdzie indziéj podobny do węża,
Tu zdrajca panem jest żony i męża:
Więc to nie z gachem Dyanna grafini
Tajemne schadzki ma w ciemnéj jaskini,
W grocie, co gładkim wyłożona brusem,
Szklannéj kaskady zamknięta obrusem;
Szarfa ta wody lecąca z wysoka
Nie puści w grotę śledzącego oka,

w. 182—189: Obraz groty pod kaskadą, jako jednego z »cudów« Zofjówki, daje w swym poemacie Trembecki.

Ani księżyca — lecz przez nią przeleci
Czarna jaskółka, co w grocie ma dzieci,
Ta jedna kryształ skrzydłami rozcina;
Na wszystko miłość waży się malczyna.
Lecz noc — jaskółki śpią w gniazdach ukryte,
Lecz ciemność trwożną okryła kobiétę;
Chociaż nie sama, drży jak liść osiny,
Kiedy się w gniazdach poruszą ptaszyny;
Gdy woda głośniéj w kaskadzie zakrzyczy.
A ten powiernik kto? duch tajemniczy?
Szata go długa w ciemności obiela,
Na głowie wianek stepowego ziela;
Na głowie, siwem porośniętéj runem,
Wiąże się burzan czerwony z piołunem.
A przed nim kocioł, czary i amfory...
Ku jakiéj sprawie? ku czemu przybory?
Czy klątwy rzucać, czy palić ofiary?
Czy zabić kogo piekielnemi czary?
Z jakiem to widmem skandynawskiéj Frei
Grafini dzieło zaczyna Medei?

VIII.

Zaledwo pani wargę koralową
Piérwsze i drżące otworzyło słowo,
O! nieba! leci jasnych świateł krocie
Z pałacu, ciemną aleją ku grocie.

---

w. 204: *Freja* — bóstwo skandynawskie, właściwie bogini miłości, którą wyobrażano jako jadącą na wozie, zaprzężonym kotami.

w. 205: *Medea*, córka króla Kolchidy, słynęła z znajomości roślin i stąd uchodziła za czarodziejkę. Dopomógłszy Jazonowi zdobyć złote runo, poślubiła go i udała się z nim do Grecji. Gdy jednak Jazon przeniósł nad nią Kreuzę, Medea czarami zgubiła swoją rywalkę i zabiła spłodzone z Jazonem dzieci. Poeci dramatyczni brali ją niejednokrotnie za bohaterkę swych utworów, np. Eurypides, Seneka, Corneille, Grillparzer.

I rozsypują się po drzew łańcuchu;
W ogrodzie pełno krzyku, blasku, ruchu.
Na cichéj wodzie łabędź się poruszył,
Strzepotał, wody źwierciadlane skruszył,
Zapienił cały krąg, zbudzony nagłe,
Otworzył wszystkie puchy, pióra, żagle,
I znów spokojny spogląda wspaniale
Na rozchodzące się kręgami fale.
Tak silne serce posępnie się rzuci,
Kiedy go ze snu jaki grom ocuci,
Porwie się nagle, tłum spokojny zmiesza;
I widzi, jak się przerażona rzesza
Cofa, jak kręgi blademi ucieka
Od rażonego nieszczęściem człowieka;
To wtenczas duma na pomoc przybędzie,
To wtenczas skrzydła się duszy łabędzie
Całe rozwiną przeciw wichrom losu,
To wtenczas serce jak z twardego ciosu;
I tém się nawet chełpi boleść sroga,
Że miała świadkiem walki — tylko Boga.
I tém się cieszy serce, choćby pękło,
Że zamiast podłych zlitować — przelękło.

IX.

Ludzie po drzewach szukający wszędzie,
Budzą słowiki i płoszą łabędzie.

---

w. 218: *Tak silne serce posępnie się rzuci*... przypomina wiersz z *Marji:* »Może w kłopocie i silna głowa, Posępnie kiedy się rzuci«...
w. 231: *podłych zlitować*... — pobudzić do litości.
w. 212—231: Cudowny obraz zbudzonego nagle łabędzia i porównanie go z »silnem sercem«, *kiedy go (!) ze snu jaki grom ocuci*, a potem dygresja o duszy samotnego człowieka, którego duma i ból *tem się nawet chełpi... Że miała świadkiem walki — tylko Boga*. Niewątpliwie myślał w tej chwili Słowacki i o sobie także.

Już słychać szmery, już wrzawa szalona,
Że graf otruty, że cierpi, że kona.
Wreszcie okropna wieść do groty wpadła:
Powiernik zaśmiał się — a pani zbladła,
I znów skościeli oboje na długo.
Lecz ktoby wtenczas ją widział z tym sługą,
Ktoby ją widział, kiedy przez kaskadę
Blaski księżyca ją oblały blade,
Ktoby w jéj usta już nie koralowe,
Ale pobladłe, otwarte, surowe
Spójrzał i słuchał, gdy tak stała cicha,
Jak przez te usta serce w niéj oddycha;
Ktoby usłyszał, z jakim dzikim wrzaskiem
Wybiegła z ludźmi się spotkać i z blaskiem,
I z obwinieniem, co na każdéj twarzy
Przy migającéj się pochodni żarzy;
Ktoby w téj chwili, nie zalane łezką,
Ale pięknością jasne nadniebieską
Widział jéj oczy, gdy je w gwiazdach trzyma,
Albo o męża pyta się oczyma:
Tenby ją całkiem miał nie potępioną.
Zepsutą była, niewierną — lecz żoną.

---

w. 148—255: Ustępy VII—IX wprowadzają Grafinię i jej kochanka, który *panem jest żony i męża.* Rola jej (porównaj *Wstęp*) zupełnie niewyraźna, a to, co robi, spełnia jako bezwolne narzędzie Greka. Podejrzywa ją Wacław i podejrzywa tłum o otrucie; Wacław nadto wyznaje księdzu, że ona zrobiła, iż *śmierć kraju zniosłem,* że struła w nim najszlachetniejsze budzące się uczucia obywatelskie: poeta wreszcie podnieca ciekawość pytaniem: *Z jakiem to widmem skandynawskiej Frei Grafini dzieło zaczyna Medei* (VII, w. 204—205), każąc jej ostatecznie w najciemniejszej sali chować brylanty i papiery palić (XVI, w. 442—443).

Czem ona jest właściwie, odgadnąć trudno. Czy ma być uosobieniem żarnej, palącej chuci, przepalającej stal godności człowieka, lub usypiającą wolę — aksamitną pieszczotą delikatnych kwiatów miłości; czy aniołem-mścicielem zbrodni i grzechów Wacława przeciw narodowi? Nie! Karze go przecie kto inny: ów *jakiś duch z burzanu,* owa *wiedźma,* która trumnę *możnego pana w Ukrainie* żegna przekleństwem: *Idź w ogień piekła za narodu*

X.

Jedne tam okno na zamkowéj sali
Od czerwonego księżyca się pali.
To właśnie okno grafowskiéj komnaty,
Jak anioł blaskiem czerwonym skrzydlaty
Stoi na zamku, patrzy na katusze,
I czeka, by wziąć z tego ciała duszę.
U bramy zamku tłum pobladły czeka.
Na drodze widać konnego człowieka,
Jak czarny szatan z płomykiem na głowie,
Otwierać bramy, nim się człek opowie!
Bo to nie djabeł, ani żadna jędza,
To kozak pański konno wiezie księdza.
Będziesz pamiętał ty, księże Prokopie,
Jak się kozaczy koń przez jary kopie,
Jak parska ogniem, jak daje szczupaka,
Choć ma na sobie księdza i kozaka.
Héj! héj! skrzypiąca brama się odmyka,
Kozak na koniu przywiozł spowiednika;

---

zdradę Z trupem, co mojem wykarmiony mlekiem (XXXVI 973—974), będąca narzędziem trupa Wernyhory, który, jak »mówią« *Przyszedł się pomścić za Lachów ojczyznę I z grobu przyniósł dla pani truciznę* (X, 282—283).

Osobista rola Grafini — żadna, jest bowiem bezwolnem narzędziem tylko.

Tajemniczość, jaka otacza całą »akcję« poematu wogóle, a Grafinię w szczególności, to owa tajemniczość, właściwa Byronowi i Malczewskiemu, spotęgowana tylko, a raczej splątana w tak niezdecydowany sposób, że się rozwikłać ani odgadnąć nie da. Cudownie »logiczna« sztuka autora *Marji* wyrodziła się u Słowackiego w drażniącą, dawne poematy przypominającą sztuczność.

Jestem tego zdania, że wprowadzenie Grafini do poematu było jednym z środków, ułatwiających poecie nakreślenie psychologicznego obrazu Wacława. Jakieś straszliwe duchy spełniają swoje niesamowite dzieło, a spełniają je przez nią.

w. 267: Wacław kazał zawołać księdza. Przywozi go sposobem sobie właściwym kozak, którego Słowacki szkicuje tylko, pokazując jego gwałtowność i śmigły lot jego konia. Duszy kozaka, tak nadzwyczajnie odtworzonej przez Malczewskiego, — nie czujemy zupełnie.

Przeskoczył djaków i bab bladych wianek,
Wziął go za kaptur i rzucił na ganek.
Sam idzie w tłumy, gdzie ponure gwary,
Że ktoś na pana rzucił śmiertne czary.
Kto? wszystkie oczy idą ku téj stronie,
Gdzie u grafini w oknie lampa płonie.
Wczoraj — widziano ją w grocie z wieczora
Nie samą — mówią, że trup Wernyhora
Przyszedł się pomścić za Lachów ojczyznę,
I z grobu przyniósł dla pani truciznę.

XI.

Próżno ksiądz czeka u grafa podwoi,
Zamknął się Wacław i ludzi się boi,
I z małym synkiem sam na sam się pieści.
Widziano piérwsze trucizny boleści;
Sam mówił ludziom, że otruty kona;
Potém służalców wygnał; nawet żona
Wejść się nie waży, gdzie spoczywa chory,
Bo sam ode drzwi zasunął zapory;
A bramę chyba wyłamać wypada,
Jak umrze. — U drzwi słuchają — Graf gada.
Czasem się jakiś głosek serafina
Niebieską skargą ojcu przypomina;

---

w. 284: Od ustępu XI zaczyna się bardzo subtelna i szczegółowa charakterystyka Wacława. Opowiada poeta, raz jeden pokazując go w pewnym nieświadomym ruchu, ażeby ostatecznie z ustępem XXIII kazał mu analizować siebie samego. — Wacław *ode drzwi zasunął zapory* i nikogo do siebie nie puszcza. *Z małym synkiem sam na sam się pieści,* a tłum, który pod drzwiami czeka śmierci Grafa, słyszy ich cichą rozmowę, a *mówią, że więcej tam głosów niż dwoje.* Co to jednak ma znaczyć? Czy chce ostatnie chwile Eoljona na świecie — przebyć z nim sam na sam? Czy duchy zjawiły się same, czy przywołał je Wacław? — Pytania muszą pozostać bez odpowiedzi.

Czasem dwa tylko ciężkie odetchnienia,
Jakieś żałośne szmery i westchnienia;
I służebników tłum się niecierpliwi,
Bo słońce weszło — oni jeszcze żywi.
I dzień na strasznem zszedł oczekiwaniu,
Na skargach ojca, na dziecka płakaniu;
I księżyc weszedł, a ci dwaj straszliwi
W tajemniczości nocnéj jeszcze żywi.
Śmierć ich mównemi uczyniła smutnie,
Ich głos w zamknięciu, jak dwie zgodne lutnie.
Ci, co słuchali przez grube podwoje,
Mówią, że więcéj tam głosów niż dwoje.

XII.

Oddawna wieści są i poszept głuchy,
Że z grafem jakieś są po nocach duchy.
Raz go widziano, jak przez zamku cienie
Wodził za sobą dwa ciche płomienie,
Skrwawe, czerwone, piekielne straszydła,
Mające oczy i włosy i skrzydła.
Ścigany przez nie wybiegał z komnaty
Tylnémi drzwiami, na ogród, na kwiaty;
I raz go z wody wydobyła zgraja;
Było to, mówią, w dzień trzeciego Maja.
Widziano, jak biegł przez łąkę w zawody,
Ognie go, mówią, zagnały do wody.
Widziano, jak się topił cały blady:
Skądże ta rozpacz? i te ognio-ślady?
Gdy ziemia w nowe kwiaty się ustraja,
Gdy wszystko ciche w dzień wiośniany maja?
A już to od lat wielu takie rzeczy;

Nikt nie przysięgnie, i nikt nie zaprzeczy,
Wszyscy się boją wierzyć w takie dziwo.
W młodości, słychać, zgrzeszył bardzo krzywo,
Dlatego piorun za nim się pomyka,
Owiewa skrami, straszy, lecz nie tyka,
Tylko grobowym okrąży zapachem,
Aby go zabić krwią, albo przestrachem.
A mówiąc o tém, ludzie z twarzą bladą
Dodają: człowiek ten przewinił zdradą,
I sam się dzisiaj chce karać za zbrodnie,
Sam przyzwał piekieł czerwone pochodnie;
A kiedy przyjdą i nad łożem staną,
On się nakrywa chustą, krwią zbryzganą;
W téj chuście niegdyś mu kozacka spisa
Podała w nocy sąd na infamisa,
Gdy kraj zdradzony już był i rozdarty.
Ta chusta i te pergaminu karty
Leżą przy łożu koło puginału —
Niech Bóg go broni w rozpaczy od szału!
Biada! o! biada, gdy przy łożu siędzie
Śmierci przyczyna i śmierci narzędzie.
To dość dla serca, co się samo dręczy —
Widm nie potrzeba — sumnienie wyręczy.
A rzecz straszniejsza! sumnienie Wacława
Nabyło nawet nad uśpionym prawa;
On w nocy wstaje i z otwartém okiem
Po zamku chodzi niesłyszanym krokiem;
Czasem pochodnią sobie świeci nocną;
Oczy otwarte, wyiskrzone mocno;

w. 339: *infamis* (wyr. łać.), człowiek pozbawiony czci. Szczęsny istotnie za powstania kościuszkowskiego skazany został na śmierć za zdradę Rzeczypospolitej.

Lecz jakby co się roiło w zrennicy,
Ani w nich mgnienia, ani błyskawicy,
Ani się światła bliskiego przełękną:
A gdy się wpatrzą w co — zda się, że pękną.

XIII.

Znałem ja Grafa Wacława za młodu —
Dumny z piękności, z wysokiego rodu;
Drzewo, co późnéj mogło czekać zimy —
On tak wyglądał jak rycerz Solimy
Piękny i straszny, kiedy go koń kary
Niosł do kochanki przez burzanów jary,
Kiedy na jakie powietrzne wołanie
Stawał obejrzeć się gdzie na kurhanie;
Myślałbyś wtenczas, że to anioł stepu,
Pod błękitami niebieskiego sklepu
Stoi i czeka, aż wicher poruszy
Na jaką walkę skrzydła jego duszy.
Coż się z nim stało? czy to moich powiek
Mara? — gdzie tamten anioł, rycerz, człowiek?

---

w. 308—357: Ustęp XII. Poeta mówi wprawdzie: *I sam się dzisiaj chce karać za zbrodnie, Sam przyzwał piekieł czerwone pochodnie*, ale te słowa nie tłumaczą zupełnie niezrozumiałej rozmowy w ustępie XI. Ustęp XII cały jest tylko dowodem, że Wacław zostaje pod bezpośrednią władzą duchów, które karzą go, w pewne zwłaszcza dni, jak w dzień trzeciego maja, za jego narodowe zbrodnie. Kara straszliwa, nie zabijająca od razu, ale powoli, z jakiemś niezwykłem wyrafinowaniem.

W chwili, kiedy Eoljon, jakby ostatnia z jego gwiazd na niebie, gaśnie na wieki, w ponurej duszy Wacława rozpala się pamięć całej jego dawnej ohydy w taki palący żar niemilknących ani na chwilę wyrzutów i rozpaczy, że pragnie kary i śmierci, byle zbyć pamięci, gorszej niż piekło. Ustęp niezwykle silny. Zapewne, »niesamowitość« przechodząca niemal granice, ale lęk i rozpacz zdrajcy, panujące nawet »nad uśpionym«, oddane niepospolicie. Ma się wrażenie, jakby się widziało przedziwnie oświetlone rozdrganie bagiennych oparów...

w. 361: *rycerz Solimy* — Krzyżowiec, por. str. 7.

w. 358—371: Ustęp XIII — to kontrast między dawniejszym Wacławem, *aniołem stepu*, a dzisiejszym — *marą*. Podnosi go poeta ostatniemi, jakby od siebie danemi pytaniami.

XIV.

Smutny był koniec jego piérwszéj żony;
Dostała wcześnie anielskiéj korony,
Zamordowana, utopiona w stawie,
Gdy na wojennéj był Wacław wyprawie.
Mówią, że obce pomściły się prawa
Śmierci synowéj, na ojcu Wacława.
Jeżeli tak jest? o! Chryste na męce! —
Jakie w tym rodzie serca! jakie ręce!
Mówią — że ojciec Graf w turmę zamknięty
Umarł przed sądem — a drudzy, że ścięty;
Lecz takiéj rzeczy myśl nie wierzy sama:
Na takim wielkim rodzie? taka plama!
Tak wielka szyja złamana nad gminem?
Lecz ojcu nie mieć litości nad synem!
Ale zabójców nasłać na synowę,
I za pieniądze móc odkupić głowę!
Gdy nieraz ołów ludzki się zagłębia
W serce orlicy, i za śmierć gołębia:
Niktże téj śmierci pomścić się nie umie
Na krwi wysokiéj? na wyniosłéj dumie?
Niktże — prócz syna — co za te popioły
Ojcowi musiał miecz pokazać goły?
Tak się więc zbrodnia ogniwami winie,
Że ojciec własny, wroga widzi w synie;
Albo umiera syna krwią czerwony,
Nie pożegnany i nie przebaczony;
Albo tak skala syna pierś łabędzią,

---

w. 372: Pierwsza żona Szczęsnego, Gertruda Komorowska (Marja u Malczewskiego), została istotnie utopiona przez zbirów ojca Szczęsnego, Franciszka Salezego Potockiego.
w. 393: *ojcowi* — zam. ojcu.

Aby mu nie był czystszym, ani sędzią:
Aż tam nareszcie stanie pochylony
Zdrajca narodu, przed zbójcą swéj żony;
Aż znowu wrócą pod zwyczajne prawa,
I od przedajnéj głowy wyższa — krwawa.

XV.

Ale to pewna, że śmiercią téj żony
Graf Wacław dziwnie na sercu zmieniony.
Ponurość ciemne okryła oblicze,
Serce zamknięte ludziom, tajemnicze,
Na czole duma. Gdy kto weń uderzył
Miłością czystą ojczyzny — nie wierzył.
Na wszystkie echa rozkoszy i jęku
Serce się jego już pozbyło dźwięku.
Coś ma cichego, okropnego w łonie.
Mówią, że myśli o polskiéj koronie;
Króla w nim widzą przyjacielskie oczy,
Wielkość wyśledza głos fałszu proroczy:
Jam go opuścił śród tego zamętu
Myśląc: i cóż jest twardość dyamentu!
I cóż jest wierność grobowi, pamiątkom,

w. 372—403: Ustęp XIV. Poprzedni ustęp mowił o Wacławie, kochanku Marji, z której śmiercią *Graf Wacław dziwnie na sercu zmieniony*, rzecz więc zupełnie naturalna, że ustęp XIII daje ponury obraz jej śmierci i tej śmierci następstwa, ujęte tutaj w formę domysłów i przypuszczeń ludzkich, które zbija Wacław podczas swojej spowiedzi (ustęp XXXV). W jedno z nich, wyrażone przez poetę słowami: *Niktże* (»tej śmierci pomścić się nie umie«) — *prócz syna— co za te popioły Ojcowi musiał miecz pokazać goły?* (XIV, 392—393), zmienił się koncowy ustęp XVII ustępu Pieśni II *Marji*: »Aż w nim powstała ta chciwość szalona Krwi — krzyku — dzwonów — płomień popsutego łona, Co domowej niezgody rozpala pochodnię, I w własnem swojem gnieździe — zbrodnią karze zbrodnię«. Nagromadzenie tych najrozmaitszych pogłosek, oczywiście zrobione nato, aby nam także kazać zapytać: *Jakie w tym rodzie serca! jakie ręce!* oraz aby zaznaczyć, że od tej śmierci Wacław zmienił się zupełnie.

W sercu najtwardszem? jakimże to wrątkom
Daje się dusza unosić Wacława?
Chmurzy się niebo — burza będzie krwawa.
Więcéj niż Boga, ta dusza tajemna
Zamyka w sobie — przyszłość będzie ciemna!
Bogdajbym nie zgadł! lecz smutna w nim siła;
Miłość go tknęła, boleść nie zabiła;
Więc jeszcze nadto w nim miłośnéj siły,
A już nikogo kochać — prócz mogiły.
O! kraj nieszczęsny, co jak spadkobierca
Po żonie weźmie dar strutego serca.
Ludu! przeżegnaj tę marę złowrogą!
Ona na scenę świata wchodzi z trwogą;
Myśli, że anioł ją rzucił obrończy,
Nieszczęściem zaczął — a piorunem skończy.

XVI.

A dziś — już koniec! Do Wacława gmachu
Weszła posępna królowa przestrachu.
Czy go kto otruł, czy struła zgryzota —
Kona, a przy nim synek, róża złota,
Gwiazdeczka ranna, także więdnie, gaśnie.
A w zamku bójka, kradzieże i waśnie.
Ten bierze sprzęty, ten ściany odziera;
Zamek się niszczy, pan zamku umiera.
Gdzie żona? — Ona w najciemniejszéj sali

---

w. 419: *wrątkom* — wrącym, burzącym się myślom.
w. 404—433: Ustęp XV. Tragedja wielkiej duszy zaczęta. Wacław nie ma już pragnień ani złudzeń żadnych. Po tym straszliwym prologu *przyszłość będzie ciemna*. Bohater *nieszczęściem zaczął... a piorunem skończy*. Charakterystyka Wacława ciągle podawana nam jako domysły ludzkie, albo spostrzeżenia opowiadającego, którego anonimowość trudna czasem do przeniknięcia. Czasem jest to przejęty od Byrona środek techniczny: poeta jako naoczny świadek
w. 435: *posępna królowa przestrachu* — Śmierć.

Brylanty chowa i papiery pali;
Nie sama — Greczyn w Arnauta stroju
Leży na złotém węzgłowiu w pokoju;
Jak sułtan jaki wydaje rozkazy,
A nie powtarza wydanych dwa razy,
Bo go ta piękna słucha, myśl zgadywa,
I całuje go w ręce — nieszczęśliwa!

XVII.

»Dyanno!« Przyszła, stanęła w pokorze.
»Zrzuć teraz, piękna, te ślubne obroże,
Wypogodź teraz czoło lodowate.
Lubię tę chłopkę, tę polską Hekatę,
A skoro tylko zabłyśnie Fingary,
Sam pójdę patrzéć, jak zamawia czary
I śmierć posyła ludziom z ciemnej groty«.

— »O! Antynoe, już czuję zgryzoty,
A przecięż śmierci męża jam nie winna.
Ona to! ona, ta kobieta gminna,
Musiała jakieś zemsty niepowszednie,
Lub spełniać jakie chłopskie przepowiednie;
A gdy ja chciałam, by ta wiedźma z piekła
Czarę miłośnem zaklęciem urzekła:

---

w. 441: *Arnaut* — turecka nazwa Albańczyków.
w. 453: *Hekate* — według greckich poetów bogini podziemna, która z nieubłaganą surowością włada pomiędzy cieniami, a równocześnie, jako nocne widmo czarodziejskie, panuje nad złemi i szkodliwemi demonami, wywoływa duchy zmarłych z podziemia, a nocną porą straszy przechodniów pokutującemi marami. Przedstawiano ją w różnych epokach rozmaicie. Zrazu podobnie jak Artemidę, później jako trójpostaciową niewiastę (trzy posągi złączone), także z trzema głowami: konia, psa i lwa.
w. 454: *Fingary* — turecka i nowogrecka nazwa księżyca.
w. 457: *Antynoe* — wołacz od Antinous; tak zwał się ongiś jeden z zalotników, starających się o rękę Penelopy, żony Odyseusza.

Ona — o! srogi i okropny błędzie! —
I może on mię trupem kochać będzie,
I z grobu przyjdzie po miłość umarły«.

Tu się powoli drzwi sali otwarły.
Struchleli nagle oba kochankowie:
Wszedł spiący, z szmatą skrwawioną na głowie.

XVIII.

Kto go tak ubrał? Nieraz synek mały,
Kiedy na ojca padał księżyc biały,
Widząc, jak w świetle twarz się Grafa mroczy,
Dwie białe róże kładł ojcu na oczy;
Lub w obłąkaniu (o! jasne i wdzięczne
Dziecka przysługi!) promienie miesięczne
Od ojca wzroku brał na swoje lica,
I tak zesmutniał cały od księżyca.
A dziś — okropność! miałżeby Wacława?...
Przy łożu chustka ta leżała krwawa —
Miałżeby synek ten łachman grobowy,
Może z Anioła ciemnego namowy,
Na głowę ojcu?... — o! nie, ta czerwona
Chusta nie była w ręku Eoljona.
O! nie — przysięgam, święci aniołowie!
Syn nie położył mu téj krwi na głowie.
Bo mniéj straszliwa byłaby ofiara,
Gdyby ojczyzny saméj przyszła mara,
Zajrzeć w lekarstwo zaprawne piołunem,
I zdrajcę takim nakryła całunem;

---

w. 468: *oba kochankowie*, zam. oboje, dwoje kochanków.

Aby raz jeszcze, nim go Bóg obudzi,
Czerwono wrył się w pamięci u ludzi.

XIX.

Cóż to? czy serce w téj kobiecie pękło?
O marmur czoło uderzyło, jękło,
Kość zadzwoniła, gdy czołem upadła
Przed same nogi groźnego widziadła.
I dziwnie... zadrżał, oczyma nie mignął,
Lecz cały zadrżał, i cały się wzdrygnął,
I stanął chwilę we śnie, zadziwiony,
Jakby usłyszał skąd o śmierci żony.
Lecz chwilę tylko chwiał się jak na szali
I nie obudził się — i poszedł dalej.

XX.

Sen to, czy mara jaka niezbawiona?
Krzyczą po zamku, że Grafini kona.
Nie dowiedzieć się z czego u Greczyna,
Krew w nim zastygła, zimny jak gadzina;
W pochodni światło obłąkany patrzy,
Chłodny jak kamień, od marmuru bladszy.

---

w. 491: Ustępy XVI, XVII, XVIII, XIX, XX poświęcone są Grafini i Grekowi. Rolę Grafini objaśniłem przedtem. Grekowi chodziło najwyraźniej o... brylanty.

Motyw zabójstwa Grafini przerażeniem, jakie szło od głowy męża, nakrytej *krwawym całunem*, charakterystyczny z tego powodu, że żonę zabija mąż, który nosi w sobie śmierć, podaną przez nią mężowi w czarze z miłosnym napojem. To nakrycie jednak głowy *chustą krwią zbryzganą*, w której mu *kozacka spisa Podała w nocy sąd na infamisa* — niczego nie tłumaczy, niczego nie symbolizuje.

Ona sama, jako *śmierci przyczyna* (XII, 345), jako wieczny wyrzut narodu i sumienia, tak straszny, że *widm nie potrzeba* (XII, 347), nawet jako tylko środek artystyczny — naturalny i przepysznie spełniający swoją rolę, na głowie Wacława, położona nie wiedzieć przez kogo, razi sztucznością.

w. 492—517: Ustępy XIX i XX — to obraz śmierci Grafini. Stan psychiczny Wacława, odczuwającego duszą tę śmierć przez siebie zadaną, wyrażony 6 wierszami niezwykle plastycznie i nastrojowo.

Grafini kona — mówią — on nie słyszy.
Zlękli się ludzie jego trupiéj ciszy,
Trącają — milczy jak widmo zaklęte,
Usta ma drżące, zęby mocno ścięte;
Wzięli, zimnego zanieśli na łoże.
Co się w tym zamku stało? Wielki Boże!
Tu śmierć nie czeka zwyczajnéj kolei.
Grafini — mówią — była przy nadziei;
Wszyscy widzieli i tłum cały pyta,
Czy jeszcze żyje, czy z dzieckiem zabita.

XXI.

Patrzaj! tam słońce nad Dnieprowe skały
Wyrzuca świetne brylantowe strzały.
Kwiaty ze łzami się podnoszą wdzięczne,
Tam w błękit czoło chowa się miesięczne;
Sarneczki złote na kurhany skaczą,
Róże się polne otwierają, płaczą,
Orzeł na krzyżu z rosy skrzydła trzepie.
Jaki spokojny wschód słońca na stepie!
Tylkoż w tym zamku, złote słońce budzi
Z przerażonego snu pobladłych ludzi!
Tylkoż w tym zamku otworzą się oczy,
Które przed nocą mgła śmierci zamroczy!

---

w. 518—533: Ustęp XXI. Naprzód maleńki, 8 wierszy zaledwie liczący obraz spokojnego wschodu słońca na stepie, po którym da nam poeta w następnym ustępie obraz martwego Eoljona. Dwie śmierci, dwa »zachody« życia ozłacają *brylantowe strzały* wschodzącego słońca. Takich kontrastów, jako środków artystycznych, mających wywoływać odpowiedni nastrój, używa poeta ciągle, oddawna, z całą świadomością, n.p. w *Lambrze, W Szwajcarji, Ojcu zadżumionych* i t. d. Ażeby zaś kontrast ten silniej jeszcze wystąpił, poeta sam zwróci nań uwagę (w. 528—529), kończąc ten bezpośredni zwrot do mających nastąpić wypadków — cudną czterowierszową dygresją o życiu, które natury nie obchodzi zupełnie.

Na coż więc było na ten świat przychodzić
Cierpiéć, miłować, nienawidziéć, szkodzić:
Ażeby wreszcie słońce dawno znane
Weszło, ostatnie, — i nie zapłakane.

XXII.

Graf Wacław woła. Wybito podwoje,
Wchodzą. Czy trupów powalonych dwoje?
Graf Wacław, przy nim synaczek maleńki —
Zbledli — Graf woła księdza i trumienki —
Wyszli; pojechał kozak do stolarza.
Do Grafa księdza wzięto od ołtarza.
Ksiądz ten pocieszać umiał nieszczęśliwe;
Spokojne lice i włosy miał siwe.
Obudził ojca, wziął go pod ramiona,
Postawił, krzyż mu przycisnął do łona,
Na złote słońce obrócił go twarzą,
Na róże, co się pod oknami żarzą;
Słońce i kwiaty, czy Boską mu chwałę,
Czyli dzieciątko te przypomną małe;
Dobrze, bo przerwą posępne rozpacze,
Bo może westchnie, przemówi, zapłacze?
Nie, stoi martwy, twarz mu się nie mieni:
Tak w brylantowém powietrzu jesieni
Stoją bezlistne drzewa, w szronu szacie,
I zadumane, jak po jakiéj stracie.

w. 534—565: Ustęp XXII — to obraz duszy Wacława, bezpośrednio niemal po śmierci Eoljona. O niej samej dowiemy się od Wacława w scenie spowiedzi (ust. XXIII). Stan ten — to zupełna martwota, jakgdyby dusza ojca odeszła z duszą syna, zanim jej wrócić każą. Poeta podkreśla ją kilka razy (w. 542, 550—553, 557, 562—563). używając między innemi środkami — niezawodzącego nigdy kontrastu (w. 544—545) i porównania (w. 551—553).

I przyszli ludzie z gotową trumienką;
Ksiądz się obrócił i znak im dał ręką,
I wzięli trupka, po cichu wynieśli.
Ojciec nie słyszał tych ludzi — a jeśli
Słyszał, to udał dziwną licem chłodność,
Ostatnią dumę w nieszczęściu — łagodność.
I postradawszy tę dziecinkę drogą,
Już nie zapytał się o nią nikogo.
I tak był długo bez myśli, bez czucia,
Jak trup, nim dzieło zacznie się zepsucia.
Ksiądz złożył ręce na piersiach i czeka
Na smutną spowiedź grzésznego człowieka.

XXIII.

Usiadł... ksiądz słucha... on usty drżącemi:
»Księże! skończyłem już wszystko na ziemi.
Patrzaj! czy widzisz ten komin i tygle?
Bóg mię ukarał srogo, niedościgle;

---

w. 566—932: Ustępy XXIII—XXXIII, to te »mające wyjednać u czytelnika nieco pobłażliwego sądu dla reszty i ogólnego układu pisma, kilka strof spowiedzi Wacława«. Podobnie jak spowiedź księdza Robaka, pozwala spowiedź Wacławą wejrzeć w jego duszę, do najtajniejszych, zakrytych dla ludzi jej głebin. Podobnie jak Robak, i Wacław odsłania nam ją z całą prostotą i prawdą, z tą tylko różnicą, że dusza Wacława jest bardziej złożona. Wacław spowiada się, aby choć jeden człowiek modlił się za nim na świecie.

Spowiedź zaczyna się zupełnie naturalnie uświadomieniem sobie i księdzu, że to są chwile ostatnie. On wie, że go otruto, dlaczego zrobiono to czystym prochem antenatów, który trucizną stał się dopiero wówczas, gdy *wstąpił* w ciało zdrajcy. Oni wiedzieli chyba, że serce Wacława, *już tak spokojne! już takie zabite!* odżyje *burzą, piorunami* i *piekłem* przeszłości, że rozpętają się w niem huragany wyrzutów sumienia i rozpaczy. I tak się stało! Odżyło wszystko (tak nieraz otwiera się rana, która się zwolna poczęła zaskorupiać!), prócz jednej zdolności ukochania kogoś lub czegoś. Onby już swojej *pierwszej pani, gdyby nawet wstała, kochać już nie mógł.*

Ponieważ zaś prochy antenatów, narodowo *czystych*, jakby wywołały z grobu zapomnienia całą jego tragiczną *nieczystą* przeszłość, przeto, i psychologicznie i artystycznie prawdziwie i naturalnie, odsłania ją Wacław księdzu w następującym bezpośrednio ustępie XXIV. Tragedja jego narodowa zaczęła się ze śmiercią pierwszej żony, spowodowaną przez ojca, przeto naprzód oświetlenie stosunku Wacława do ojca. Podejrzywano go, że był ojcobójcą, ale on śmierci ojca *nie winien.*

Wiém, co w téj czarze było — o! anioły!
Ogień miłośny i ludzkie popioły.
Wypiłem z moim synkiem przez połowę
Co? może ojców mych resztki grobowe?
Strasznie pomyśleć, kto napój przyprawił,
Co mię otruło, jaki się duch zjawił,
Aby mi dzisiaj po nocy powiedział,
O czem grobowiec dotąd tylko wiedział.
Cóż to za zemsta? jacy to nieczuli,
Co zdrajcę prochem antenatów struli;
Tym czystym prochem, zdradzonym nikczemnie,
Co się trucizną stał, gdy wstąpił we mnie.
A jakąż to myśl mieli ci mściciele,
Uśpione czucia budzić w mojém ciele,
Żyły nalewać znowu krwią namiętną,
Zbudzić to serce, gdzie zgryzoty piętno.
Wiedzieliż oni, co ogień poruszy
W czarném sumnieniu, w pokalanéj duszy?
Jaka rozogni się w krwi mojéj zgniłość?
Co wyjdzie na jaw? — zaprawdę, nie miłość!
Ale zgryzotę zbudzili i pychę:
Przeklęci! serce już tak spało ciche!
Już tak popiołem i pleśnią nakryte,
Już tak spokojne! już takie zabite!
A teraz znowu krwią nalane wściekłą,
Boleść w nim, burza, pioruny i piekło,
Wszystko, co ludzi przerażało trwogą,
Ale nie miłość — co kochać? i kogo?
Ach, gdyby nawet z grobu wywołani,
Gdyby ta nawet moja piérwsza pani,

Ta najkochańsza, najsłodsza umarła,
Wstała — to serce by moje rozdarła;
Płakałbym może i z cierpień się skarżył,
Alebym kochać już nie mógł — nie ważył;
Bo na to trzeba jaśniejszéj godziny
Niż starość ludzka, pełna krwi i winy,
Co jako skrawy, chmurny zachód słońca,
Otwiéra niebo bez Boga, bez końca.

XXIV.

»Księże, są o mnie haniebne powieści,
Nie wierz im wszystkim. Bez sławy, bez cześci,
Nie jestem takim jak ludzie niewinni,
Alež ja więcéj cierpiałem niż inni,
Ale ja większe miałem serce w sobie
Do nakarmienia... Tam małżonka w grobie,
Tam ojca sądzą mojego, o! zgroza!
Na śmierć haniebną, na karę powroza.
Mój teść otrzymał wyrok nie ojczysty...
Mój ojciec, mój ród dawny, dumny, czysty,
Wszystko to jedna godzina obali! —
Dzisiaj to wszystko ważyłbym na szali,
Dzisiajbym wolał, o! Boże! przed gminem,
Powieszonego się nazywać synem:
Lecz wtenczas, z hańbą grożone zamęściem,
Mój ojciec, mój ród, moje imie!... Szczęściem
Mój ojciec umarł — tak jak był powinien...
Czemuś ty księże, zadrżał? jam nie winien...
Że mię widziano téj nocy przy turmie
W księżycowego wichru dzikim szturmie?

Na zapienionym żem uciekał koniu,
Żem pędził z głuchym tententem po błoniu,
Że ojca mego we krwi znaleziono
Nazajutrz... księże! rozedrzyj mi łono
I obacz serce, nim pójdę do trumny,
Bo mówię prawdę — lecz przysiąc, za dumny.

XXV.

»Jestem niewinien, ale nie wiem czemu
W pamięci jestem podobny winnemu.
Bo wyznam tobie, żem téj śmierci żądał,
Nawet spodziewał się, czekał, wyglądał;
Bo i wieść o niéj chwyciłem łakomą
Myślą, lecz zimno — jak rzecz już wiadomą.
Coś we krwi miałem, coś w myśli ustrzęgło,
Co mi o śmierci téj piérwéj przysięgło.
To kiedy przyszli zwiastować mi smutni
Ludzie, co chciwi męczyć, i okrutni
Lubią posępnych słów oglądać skutek:
Wzgardziłem dumnie pokazać im smutek;
Lecz pokazałem lice zimne, szczere,
Już podniesione nad zwyczajną sferę;
Już w téj krainie cichéj, wnętrznéj burzy,
Gdzie nawet czoła śmierć ojca nie chmurzy,
Ale przechodzi wszystko ziemskie, mija,
Jady nie trują i miecz nie zabija.
Pokazałem im tę niezmienność czoła,
Które zmroziło dotknięcie anioła.

w. 634: Ustęp XXV. On śmierci ojca pragnął; wiadomość o niej *chwycił łakomą myślą*, on ją przeczuwał zresztą oddawna, więc kiedy *przyszli mu ją zwiastować, miał lice zimne*, co ludzie *wytłómaczyli inaczej*.

Wytłómaczyli to ludzie inaczéj,
Ten marmur bolu — tę ciszę rozpaczy.

XXVI.

»Ty wiesz, że dumni nieszczęściem, nie mogą
Za innych śladem iść tą samą drogą.
A gdy się duma z nieszczęścia wylęgnie,
To i Bóg czoła takiego nie sięgnie,
To nawet wiara nie pochyli głowy:
A cóż dopiéro piorun, miecz, okowy,
A nawet ludzkie przekleństwo i wzgarda:
Tak była ciemna, taka była harda
Duma w tém sercu. Na co mnie przywiodła,
Ty wiesz — lecz duszy nie sądź, bo nie podła.
Jam się nie rzucił jak koń do zawodu,
Ja sam stanąłem przeciwko narodu;
A gdym się oprzéć musiał w rzeczy ciągu,
To się na wielkim oparłem posągu.
I nie szukałbym był podpory wroga,
Gdybym większego znalazł w sercu — Boga.

XXVII.

»Nie uniewinniam ja siebie, o! księże!
Jakie mię gryzły tu w téj piersi węże,

---

w. 656. Ustęp XXVI. Większe jego serce, olbrzymia duma, gdy się zwłaszcza z *nieszczęścia wylęgnie*, nie pozwoliły mu usprawiedliwiać się ani prosić o litość, przeto pomiędzy nim a ludźmi zaczęła się czynić coraz głębsza, rozdzielająca przepaść, tak, że wkońcu stanął sam przeciw wszystkim, a potrzebując oparcia, oparł się *na wielkim posągu* — Rosji.
w. 667. *przeciwko narodu*, zam. przeciw narodowi.
w. 672: Ustęp XXVII. Od tego czasu zaczęła się jego tragedja — Polaka. Ludzie wytłumaczyli to na swój sposób, nie wchodząc w pobudki. Jego spokój zewnętrzny brali za wyraz lodowo zimnej duszy zdrajcy. On tylko wie, co się z nim działo na jawie i we śnie. Sumienie gryzło jak »węże«, a duma nie pozwoliła krzyknąć.

Jakie po nocach walki obłąkane
Z pamięcią, dumą; zaczęte, wytrwane;
Aż sumnieniowi uczyniłem zadość:
Świadczą te oczy, te czoło, ta bladość.
O! trzeba było siadać nad mém łożem,
Gdy we śnie serce mi coś pruło nożem,
Gdy się budziłem w noc bezksiężycową
W ciemności, ze krwi piorunem nad głową,
Albo widm okiem do łoża przybity,
Zimny, i łzami, i potem okryty,
Nie wiedząc, czemu serce drży boleśnie...
Mówią, żem chodził po pałacu we śnie.
Nie wiem, lecz nieraz gdy sen ciężki spadał,
Możem wstał, chodził, płakał, jęczał, gadał,
Możem z krwi rękę o rękę ocierał,
Możem zabijał i trumny otwierał,
Możem się dzielił z kim jaką mogiłą,
Nie wiem: — bo o tém mi się wszystkiém śniło...
I nawet dzisiaj na mnie krew czerwona
Na głowie... Gdzie jest moja druga żona?...

XXVIII.

»Stój! Stój! Nie szukaj téj kobiéty, ojcze
Od innych ciosy okropne, zabójcze,

---

w. 693: *Gdzie jest moja druga żona?* Drugą żoną Szczęsnego była właściwie dumna Józefa Marja Mniszchówna, ale ta dla Słowackiego nie istnieje; poeta myśli teraz o Greczynce.

w. 694: Ustęp XXVIII. Ustęp poprzedni kończy się zapytaniem: *Gdzie jest moja druga żona?*, pozornie nie mającem żadnego logicznego związku z tem, co Wacław mówił poprzednio. Zwrot ten do żony jest jednak psychologicznie naturalny i prawdziwy, bo ona właśnie *zrobiła, że śmierć kraju zniosłem*. Przeszłość przypomina teraźniejszość: Dawniej *anioł piękności i wróg nieodstępny*, a *dziś — już jędza blada*. Więc chciałby zniszczyć wszystko, co dla niej zrobił, aby z nią razem zniknęła na wieki pamięć o nim — zdrajcy.

Lecz od niéj gorsze ja rany poniosłem.
Ona zrobiła, że śmierć kraju zniosłem.
Anioł piękności i wróg nieodstępny,
Stała, gdy z hańbą walczyłem posępny.
Com cierpiał w sobie i com czuł — nie czuła,
Co w sercu mojém zmartwychwstało — struła,
Aż przyszło wreszcie, że dziś, jędza blada...
Lecz z tego niechaj ona się spowiada,
To na jéj sercu, to je kiedyś zrani —
Patrz! ja ten ogród zasadziłem dla niéj,
Te drzewa, łąki, tam niby w obłędzie
Strumienie i na błękitach łabędzie,
I ta z marmuru Karary łazienka,
To dla niéj... Patrzę, i serce mi pęka;
Bo to zostanie po mnie wszystko — długo...
O! gdybym to mógł jaką krwawą strugą
Zalać i zniszczyć i duszę wyzionąć,
I z zamkiem i z nią i z wszystkiém utonąć;
Zostawić gruzy leżące na pował,
Którychby człowiek nie znał, nie żałował,
Nie myślał o mnie tu błądząc, nie gadał:
Że tutaj zdrajca chodził, dumał, siadał,
Tu się śmiał z Boga, a tutaj łzy ronił;
A tu się w grocie kaskadą zasłonił,
Bojąc się słońca, co tę ziemię złoci,
I żył jak węże w zimnie i w wilgoci.

---

w. 705: Sławny park, opiewany przez Trembeckiego, założony przez Szczęsnego dla cudnej Zofji Greczynki i stąd nazwany Zofjówką.
w. 708: *Karara*, miejscowość we Włoszech półn., sławna kopalnią białego marmuru.

XXIX.

»Miłość ojczyzny — o! to słońce świetne
Dla serc, co dumne, sieroce, szlachetne,
Całe się czystym miłościom oddadzą.
Jako żórawie, co łańcuch prowadzą,
Świetniejsze serca wylatują przodem;
Umrą — ich duchy lecą przed narodem,
Ich wrzask, ich imie, ich lament, to hasła.
Gdy matka po nich zapłakana wrzasła,
Ojczyzna cała słyszy, leci, mści się;
W gołębiach wtenczas są serca tygrysie.
Umrą wygnani — to naród wysyła
Posłów zapraszać, niech wróci mogiła.
A choćby nawet zapomnienie, nędza,
Jednego paciérz nad mogiłą księdza,
I wieczna cisza w grobie niepłakanym:
O! ja, zazdroszczę tym czystym, nieznanym,
Ja, co się aż tam, aż do słońca darłem —
O, czemu ja też dzieckiem nie umarłem!
Czemu!... Ach wtenczas, książę, nie dla sławy,
Lecz przyleciałem był raz na bój krwawy,
Ażeby umrzeć. — Na Boga żywego,
Jabym się teraz nie miał chełpić z czego...
Szyki się biły pod Maciejowicą,
Wleciałem ściśle zamknięty przyłbicą;

---

w. 722: Ustęp XXIX. A przecie on wie, czem jest uczucie miłości ojczyzny: czuje jego wielkość i słodycz. On miał ją w sobie, lecz choć się *aż do słońca darł*, to słońce zgasło przed nim. Los i ludzie poili go goryczą w tych nawet chwilach, gdy o ojczyźnie tylko myślał, nie o sobie, i gdy chciał — on, zdrajca, polec jako Polak *pod Maciejowicą* (zam. pod Maciejowicami).

w. 745—6: *Wleciałem ściśle zamknięty przyłbicą*. Tego rodzaju tajemniczy rycerze, to ulubiony motyw romantyków; por. »czarnego rycerza« z *Grażyny* Mickiewicza.

Dziwny był ubior, ale to miał zyskiem,
Że nie witano mię zdrajcy nazwiskiem,
Wreszcie i harmat zakryłem się błyskiem;
I smutny w sobie wpadłem we krwi morze.
Słyszałeś o tym żelaznym upiorze?
Długo to było między ludźmi sporem,
Kto był tym w ogniu rąbiącym upiorem.
O! śmierci! ludzi tysiącznych morderca!
Nie chciałaś wtenczas téj krwi, tego serca.
Lont nie chciał harmat przedemną zapałać;
Kule się bały we krwi mojéj zwalać,
Lecz omijały, świszcząc koło ucha;
Miecz mój po kaskach dzwonił jak miecz ducha.
Los miał okropną zbawić mię bezczelność,
Jam był ubrany w straszną nieśmiertelność.
Jaka w tym wola Boska, nie odgadnę,
I nie chcę myśléć — lecz gdy myślę, bladnę.
Sam na tym polu, gdzie psów wściekłych kupa,
Na koniu, nakształt siedzącego trupa,
Gdy z ciał wychodził obłok krwawy, dymny,
Gdy księżyc wschodził straszny, blady, zimny,
Stałem: wtém jeden z niedomarłych, blisko,
Wymówił moje przeklęte nazwisko:
Schylam się z konia — patrzę: krwią się broczy
I krew mi swoją ten człek rzucił w oczy...
Dobyłem miecza — o! nie bladnij, księże —
Choć syknął na mnie ten, gorzéj niż węże,
Chociaż mię taką pieczęcią naznaczył,
Jam go nie dobił — ałem nie przebaczył.

XXX.

»Książe... gdzie teraz Kościuszko? — w mogile!...
Kiedy żył jeszcze, były takie chwile,
Żem ja był wrogiem jego świetnéj sławy.
Chciałbym dziś widzieć cień jego postawy,
Albo grobowiec przy bladych lawinach;
Musi być smutny nad nim szmer w drzewinach;
Smutne tam duchy błądzą w księżyc świetny,
Wołając: ojcze, choć on był bezdzietny.
Mówią, że idąc za trumny orszakiem,
Koń jego stawał przed każdym żebrakiem,
Tak nauczony za życia rycerza.
To wszystko, książe! serce mi rozszerza
Łez pełne, burzę zapowiada ciemną...
Patrzaj, co stało się z nim — a co ze mną!...

XXXI.

»Obróć tu, książe, twe łzawe oblicze.
Ileż ja w życiu chwil okropnych liczę!

w. 775: Ustęp XXX. Spowiedź zmiażdżonego serca nie może być oczywiście spokojnem pasmem opowiadania wszystkich chronologicznie po sobie następujących wypadków. Fakty — wywołują uczucia i refleksje, które wybuchają płomieniem rozpaczy, albo spływają kroplami lub potokami łez. Nic dziwnego więc, że Maciejowice przywołują na pamięć Kościuszkę, a jego biała dusza i jego *świetna sława* — palące bólem uświadomienie sobie własnego losu i życia. Rozrzewnienie przechodzi w szloch... Jako muzyka uczuć — ustęp ten nieporównany. — Kościuszko umarł dopiero w 12 lat po śmierci Szczęsnego.

w. 779: *lawiny* — są to wielkie masy śniegu, spadające z gór.

w. 789: Ustęp XXXI. Panujące dotychczas nad sobą serce łka o litość. Nie okazał mu jej nigdy nikt, a jeżeli »czuł w powietrzu jakiś szmer litości I coś szeptało: *nie płacz!* z każdej cegły«, jak wówczas, gdy odwiedzał dom swej pierwszej żony, przeklęty los pokazał mu twarz *dziką, okropną, surową*. Motyw odwiedzin domu pierwszej żony, przypomina motyw odwiedzin przez Gustawa »domu nieboszczki matki« z IV części *Dziadów*. Oczywiście, cel jednych i drugich odwiedzin zgoła inny. Szlachetna postać Miecznika z *Marji* zmienia się tutaj w jakąś ohydną postać barbarzyńcy. Cały zaś ten wstrętny pomysł służy chyba do tego, ażeby resztki *anielstwa w duszy Wacława* zniknęły zupełnie i aby Wacław, broniąc się przed ludźmi, opancerzył się *trwogą*, paraliżującą ich złość.

Słuchaj, po śmierci kraju, już zhańbiony,
Dom odwiedzałem mojéj piérwszéj żony.
O! co ja czułem, gdy lip poczet stary
Zaczął nademną swoje smutne gwary,
Kiedy się miesiąc w liść zabłąkał szumny...
Ja, co tam żyłem młody, jasny, dumny,
Z nią razem, ojcze! Ja, co w téj krainie
Myślałem niegdyś, że młodość nie minie;
Wchodzę... trzy razy wspomniałem o Bogu,
Trzy razy, blady, przejść nie mogłem progu.
Przeszedłem wreszcie — w komnatach nikogo...
Ściany się zdały napełnione trwogą,
Że mię tam widzą samego w ciemności;
Ale w powietrzu jakiś szmer litości,
I coś szeptało: *nie płacz*, z każdéj cegły;
A mnie ogromne łzy po twarzy biegły.
Na coż to przyszedł ów Wacław wyniosły,
Chwasty go same w tym gmachu przerosły.
Sam — o! bogdajbym był sam, o! zhańbienie!
Starzec wychodzi w księżyca promienie,
Poznaję — mój teść... przy niepewnym świecie
Widzę, że w ręku ma jakieś zawicie;
Twarz jego dzika, okropna, surowa;
Rozwija — patrzę — ojca mego głowa!...
Po śmierci zemsty bezczelnéj dokazał,
Wyjął z mogiły trupa i ściąć kazał.

XXXII.

»To tak mi starzec zwiędłe serce kruszy,
To tak anielstwo wypędzono z duszy,

---

w. 817; Ustęp XXXII. Ale takie zamknięcie się w sobie nie uspokajało

To tak myśleli, że mię zdeptać mogą;
Aż się od hańby obroniłem trwogą...
Lecz nie pomogło... bo jak od źwierciadła,
Od ludzi trwoga ta na mnie upadła.
Bo wyschły jak trup, po uczuć pogrzebie,
Jąłem się lękać nie Boga, lecz siebie.
Więc niech się skończy ten los, co mi cięży,
Niech w nieskończoność dusza się rozpręży;
Wszystko straszliwe, co się w serce ciśnie,
Niech się jak piorun wyrwie i rozbłyśnie.
Niechaj część każda pokalanéj duszy
Dozna właściwych bolów i katuszy:
Lecz niechaj wszystko to w jednym mordercu
Zamknięte, w jedném nie gryzie się sercu.
O! były chwile okropne na świecie!
I ta noc!... Księże, pociesz ty mię przecie;
Czy ty łzy tylko masz dla mnie pacierzem?
Dla mnie, co stoję nad śmierci wybrzeżem,
Co tu widziałem pełną tajemnicy
Śmierć w synka mego błękitnéj źrenicy.
Okropność! jego usteczka różane,
Miłością jakąś obłąkane, pjane,
Z ognia oddechem, z lutniowémi gwary,
Pocałunkami tu goniły mary.
Widziałem moje sny młodości złote,
Zachwyty, miłość, niepokój, tęsknotę,

---

duszy. Ona gryzła sama siebie, a los nie skąpił ani jednego ciernia. Jednym z najstraszniejszych — to śmierć Eoljona, z którym skonało wszystko, co go wiązało jeszcze z życiem. Na spotkanie z Wacławem, mającym odejść w mrok, wychodzi para dwojga widm: ojca i pierwszej żony, jakgdyby za nim »w mogile tęskniącej«. Ojciec rozumiał duszę syna, bo był powodem jego »zbrodni«, Marja przyszła z uśmiechem niezapomnianej miłości.
w. 831: *mordercu* zam. mordercy.

Wydane dziecka niewinném obliczem:
Lecz on kochał nic, on tęsknił za niczém,
A jednak tęsknił i kochał. Widziałem,
Jak się w coś wpatrzył z obłąkania szałem.
Myślałem — biedny! czego się on męczy?
Łabędź w jeziora zakochał się tęczy,
Umarł, nim zgasła, nie doczekał nocy.
Lecz ile było w nim ognia i mocy!
Jakie wyrazy tęskne, smutne, śliczne,
Długo echowe i melancholiczne
Z ust mu jęczały! Była jedna chwila —
Myślałem, że mu skrzydełka motyla
Z ramion wyrosną, że główka zaświeci
Ogniem niebieskim, i w niebo uleci;
Bo na paluszkach wstał, rosnął w człowieka;
Myślałem, że już odemnie ucieka —
Wrócił... przy nogach mi go ból pokonał.
W godzinie jednéj kochał, cierpiał, skonał.
O! cud okropny! co iskrę słoneczną,
W serduszku dziecka zamknął miłość wieczną.
To, co ja dotąd w mojém sercu mieszczę,
To go zabiło — a ja, cierpię jeszcze!
I jeszcze kocham i widzę to jawniéj
W sercu, przed śmiercią, że kocham jak dawniéj.
Tu! z krzyżem, księże! tu stawaj u czoła!
Niechaj myśl moja tych snów nie wywoła.
Niech nie przychodzi tu jéj cień bladawy...
Przyszła! — tam za nią stoi ojciec krwawy,
Włos jego siwy — o! to męki moje
Ta para, ludzi tych w powietrzu dwoje.
A jednak twarze to może jedyne,

Co odpuszczają mi hańbę i winę,
Co widząc dolą znękanego twardą,
Jak inni ludzie, nie patrzą ze wzgardą.
Maryo! nie idź za księżyc się chować,
Dobrze, żeś przyszła się tu ulitować,
Dobrze, żeś mi się duchem pokazała
Taka posępna i cicha i biała,
Jak gdyby za mną w mogile tęskniąca.
Maryo! czekaj zachodu miesiąca,
Pójdziemy razem — gdzie? — ja nie wiem. — Księże,
Wkrótce me ciało już ziemię zalęże,
Na długie słowa już mi braknie czasu.
Każ uszyć nową jéj suknię z atłasu,
Każ włożyć wianek z róż świeżych uwity,
Niech ją obmyją, ubiorą — kobiéty...
Pamiętaj... trumna to od wejścia czwarta...
Patrz, jak ta szata już na niéj podarta...
Czy dobrze? — zrób to, nim promienie świtu...
Patrz! uśmiechnęła się na to z błękitu.

XXXIII.

»Nie mów nikomu o mnie, sługo Boży,
Niech mój grobowiec ludzi długo trwoży.
Weź i tę chustę... choć krwią powalana,
Możesz ją złożyć przed ołtarzem Pana,
Albo... Dlaczegoś drgnął przed tym rozkazem?

w. 895: Ustęp XXXIII. Ostatni ustęp spowiedzi, to jakby ostatni rzut oka na całą przeszłość, o ile ją jedno spojrzenie zamknąć może, bolesny żal zmarnowanego życia, rozpaczliwa chęć wyszukania choćby najmniejszej winy w drugich dla usprawiedliwienia siebie i rozpaczliwe zmaganie się ze sobą dumy i *upodlenia przed sobą*. W mrok grobu prowadzi paląca się jasno świadomość zbrodni Polaka. Zbolałe serce ma jakąś nadzieję, *że może Bóg wspomni na męki i przebaczy*, i błaga księdza o modlitwę.

Powieś tę chustę przed Panny obrazem,
Musi być święta ta krew, co ją broczy,
Bo mi ją kiedyś naród rzucił w oczy.
Więc te męczeństwo pobladłego czoła,
To mój ostatni jest dar dla kościoła.
I jam cóś ciernia czuł w mojéj rozpaczy,
Może Bóg wspomni na to i przebaczy.
Żalu mojego najlepszą jest probą
To upodlenie się moje — przed sobą.
Co będzie z moim duchem nad mogiłą?
Pewnie nie gorzéj, jak to, co już było.
W dumie méj jeszcze przynajmniéj znachodzę,
Że mię przed śmiercią broni ulec trwodze.
Gdy przy tém łożu nic, tylko rozpacze,
Gdyby mniéj dumny, płakałbym — nie płaczę;
Lecz coś jest we mnie, gdy w grób muszę wchodzić,
Z czémby się żadne łzy nie mogły zgodzić:
Wściekłość na siebie, żar, co się nie studzi,
A nawet, księże! jakiś żal do ludzi:
Jak gdyby oni byli winni zdawna,
Że się krew we mnie zaczerniła sławna.
Lecz nie — i myśl ta nie może pocieszyć. —
To wszystko... Księże, czy śmiesz mię rozgrzeszyć?
Olej, co czyni w Bogu śmierć wesołą,
Czy się odważysz lać na zdrajcy czoło?
Jam nie żałował, i nic nie naprawił,
Kraj jeszcze we krwi — a jam go zakrwawił;
I długo będzie ta krew po mnie płynąć,
Tysiące walczyć i tysiące ginąć,
Po mnie nieszczęścia więzienia i wojny —
I mógłżebym ja w grobie spać spokojny?

O! nie! nadzieja jest szaleństwem dla mnie —
A jednak — starcze, ty! módl się ty za mnie!«

XXXIV.

Graf Wacław skonał. O! domysłów płonność!
Na lice wyszła trucizny zieloność:
Ale krew jego już dawno zepsuta;
Ciągła samotność, łzy, wzgarda, pokuta,
To nieraz także te trucizny duszy
Wyjdą na ciało, zwiędłe od katuszy,
I nieraz lice trupowi odmienią,
Połamią, poskrzą, zsinią, pozielenią:
Więc może i te splamienia Wacława,
Nie z gwałtu poszły, lecz z natury prawa.
Lepiéj tak wierzyć, niż oskarżać ludzi.
Niech się podstępna ciekawość nie trudzi;
Gdy ziemia z siebie rzecz przeklętą zrzuci,
Niechaj spokojność w tłum zmięszany wróci.
Lecz nie, ten zamek wre skargą i gwarem,
Domysły rosną z niepokojem, swarem,
Mówią, że pani chciała ukryć winę.
Mówią, że miała otrucia przyczynę —
Jaką? — nie można wierzyć w takie baśnie.
Miałażby otruć małżonka — a właśnie
Zadatek nowéj miłości i wiary
W jéj łonie — po cóż przy kołysce mary?

---

w. 932: Spowiedź ta, to właściwy romantykom środek techniczny. Używał go Walter Scott, Byron, używał go też już przedtem Słowacki.

w. 933: Ustęp XXXIV. Po śmierci Wacława zamek *wre gwarem* domysłów i plotek, które poeta zbywa słowami: *nie można wierzyć w takie baśnie,* każąc przypuszczać, że owe *splamienia Wacława Nie z gwałtu poszły, lecz z natury prawa.* Robi to zaś dlatego, aby tajemniczej historji Wacława nie rozjaśniał ani jeden promyk pewności, jakkolwiek przecie Wacławowi duch *powiedział, O czem grobowiec dotąd tylko wiedział* (XXIII, w. 576—577).

XXXV.

Po ukraińskich stepach syczą żmije,
Pogrzeb się czarny z pochodniami wije,
A za pogrzebem groźny wicher wyje.
Smutno, posępnie przez kurhany płynie
Pogrzeb możnego pana w Ukrainie.
Z każdéj mogiły ognista kolumna
Wytryska w niebo, gdy nadchodzi trumna.
Już przeminęła, a jeszcze czerwono
Wszystkie kurhany w Ukrainie płoną,
I rozmawiają cicho o pogrzebie.
Gwar na tym stepie, a cisza na niebie.
W ziemi grobowéj głucha trupów wrzawa,
Bo między niémi stanął trup Wacława.

XXXVI.

Człowiek? czy widmo? — Jakiś duch z burzanu,
Wyszedł na czoło ogniste kurhanu,
Pogroził ręką: »Zdrajco! otoż tobie
Trucizna w przodków wypróchniałym grobie.
Idź, trumno czarna, z obydnym człowiekiem,
Z trupem, co mojém wykarmiony mlékiem.
Idź w ogień piekła za narodu zdradę!
W kołyskę kładłam i w prochy cię kładę.
Dzieciątko moje ty i moja żmijo,
Ziemia cię zmrozi, robaki spowiją.
A choć krew twoja kiedyś winę zmaże,

---

w. 955 i n.: Ustępy XXXV—XXXVI. Mrok niepewności staje się tem grubszy, że trumnę z Wacławem żegna tajemnicza wiedźma znanem przekleństwem.
w. 978—979: *A choć krew twoja kiedyś winę zmaże* i t. d. Odnosi się to prawdopodobnie do Aleksandra Potockiego, syna Szczęsnego, uczestnika powstania listopadowego, znanego poecie osobiście.

Tego ci Pan Bóg zwiastować nie każe.
Choć Ukraina kiedyś zmartwychwstanie,
Ty się nie dowiész w piekle, ty szatanie!
Nic się nie zmieni, wieczność się zaczyna,
A wieczność taka, jak śmierci godzina«.
Tak pożegnawszy resztki pana zgniłe,
Zapadła wiedźma w burzan, czy w mogiłę.

XXXVII.

I znów na zamku jasnych świateł krocie,
Księżyc w ogrodach, szum kaskady w grocie;
I znów tam cicho, i kaskada grzmiąca
Znowu się srebrzy na blasku miesiąca.
Mówią, że łabędź i róża czerwona
Szepcą w powietrzu imie Eoljona,
Gdy wszystko ścichnie wieczorną godziną,
Gdy róże płaczą i łabędzie płyną.
A o dzieciątku tym z twarzyczką ducha
Została jakaś ciemna powieść, głucha.
Mówią, że raz go widziano w téj grocie,

---

w. 986: Ustęp XXXVII, ostatni, spełnia podwójną rolę: Jest artystycznem zakończeniem poematu, ale zarazem osobistem wypowiedzeniem się poety w swojej własnej sprawie, w kwestji trapiącego go ciągle zagadnienia jego życia: stosunku do ludzi, do narodu. Eoljon ma w sobie pewne zasadnicze (w różnych momentach życia) rysy duszy Słowackiego. W ustępie XXXII powiada o nim Wacław: »Lecz on kochał *nic*, on tęsknił *za niczem*, A jednak tęsknił i kochał« (w. 845—846), a takie określenie duszy Eoljona przypomina to, co Kordjan mówi o sobie w 4 scenie III aktu *Kordjana:* »Lecz ten smutek, to żałość dziecinna po *niczem*, Może po kraju«. I poeta więc i Eoljon »kochają — nic« i »tęsknią za niczem«. »Mówią jednak (a *cudy są wszędzie*), że raz go widziano w tej grocie« bajecznego ogrodu w Tulczynie, gdzie mu *duchy powietrzne przyniosły zapaloną harfę*, na której począł grać cuda natury, a potem *jęki narodu, bo cicho konać i cierpieć nie umie.* »A gdy śpiewaka pieśń i tony rosły«, podniosły się za nim łabędzie i poleciały za śpiewakiem, który opuścił ziemię »odkąd zabrakło już białych słuchaczy«, mogących zrozumieć zmianę zasadniczego tonu pieśni poety. Element fantazyjny zespolony z elementem osobisto-uczuciowym.

Całego w gwiazdach, w promienistym złocie;
Duchy powietrzne, za tęczową szarfę
Przyniosły jemu zapaloną harfę;
Usiadł... do ognia strun przybliżył ręki:
A piérwsze z harfy westchnienia i dźwięki
Zwołały wszystkie łabędzie z ogrodu;
A drugie tony, jak jęki narodu,
Co cicho konać i cierpiéć nie umie,
Zrobiły szelest w tym łabędzi tłumie;
A gdy śpiéwaka pieśń i tony rosły,
Wszystkie się razem łabędzie podniosły,
I poleciały płaczącym orszakiem
W niebo gwiaździste, z harfą, ze śpiewakiem.
I znikły, długo widziane na górze,
Jak girlandami spięte białe róże,
Ulatujące w niebieskie krainy,
Dosłuchać harfy téj, i téj dzieciny.
Nie wiém, czy wierzyć — lecz cudy są wszędzie...
I odtąd znikły w ogrodach łabędzie
I szafirowych wód nie krają łonem,
Bo poleciały wszystkie z Eoljonem.
A Bóg nam wieszczów zostawiać nie raczy,
Odkąd zabrakło już białych słuchaczy.

KONIEC

Pierwsza serja

BIBLJOTEKI NARODOWEJ

obejmuje:

Kochanowskiego TRENY, w opracowaniu prof. *Tadeusza Sinki* (Nr. 1)
Słowackiego KORDJAN, w oprac. prof. *Józefa Ujejskiego* (Nr. 2)
Kochanowskiego ODPRAWA POSŁOW, w oprac. *T. Sinki* (Nr. 3)
Niemcewicza POWROT POSŁA, w oprac. prof. *Stan. Kota* (Nr. 4)
Lenartowicza WYBOR POEZYJ, w oprac. prof. *M. Janika* (Nr. 5)
Mickiewicza POEZJE (Tom I), w opr. prof. *Józefa Kallenbacha* (Nr. 6)
Słowackiego ANHELLI, w opracow. prof. *Józefa Ujejskiego* (Nr. 7)
Towiańskiego WYBOR PISM, w oprac. prof. *Stan. Pigonia* (Nr. 8)
Felińskiego BARBARA RADZIWIŁŁOWNA, w opracowaniu prof. *Marjana Szyjkowskiego* (Nr. 9)
Brodzińskiego O KLASYCZNOSCI I ROMANTYCZNOŚCI, w opracowaniu prof. *Aleksandra Łuckiego* (Nr. 10)
Mickiewicza DZIADY WILENSKIE, w opr. prof. *J. Kallenbacha* (Nr. 11)
Żółkiewskiego PAMIĘTNIKI O WOJNIE MOSKIEWSKIEJ, w opracowaniu prof. *Wacława Sobieskiego* (Nr. 12)
Słowackiego BENIOWSKI, w opr. prof. *Juljusza Kleinera* (Nr. 13/14)
Kopernika WYBOR PISM, w oprac. prof. *L. Birkenmajera* (Nr. 15)
Słowackiego LILLA WENEDA, w opr. prof. *Michała Janika* (Nr. 16)
Mickiewicza KSIĘGI NARODU I PIELGRZYMSTWA POLSKIEGO, w opracowaniu prof. *Stanisława Pigonia* (Nr. 17)
Krasińskiego PRZEDSWIT, w opr. prof. *Juljusza Kleinera* (Nr. 18)
Potockiego WIERSZE, w opracowaniu prof. *A. Brücknera* (Nr. 19)
Mickiewicza DZIADY, CZĘSC III., w opr. prof. *J. Kallenbacha* (Nr. 20)
Pola PIESN O ZIEMI NASZEJ, w opr. dyr. *R. Zawilińskiego* (Nr. 21)
Fredry SLUBY PANIENSKIE, w opr. prof. *Eug. Kucharskiego* (Nr. 22)
Czartoryskiej MALWINA, w opr. prof. *K. Wojciechowskiego* (Nr. 23)
Krasińskiego NIEBOSKA KOMEDJA, w opr. prof. *J. Kleinera* (Nr. 24)
Korzeniowskiego SPEKULANT, w opr. *K. Wojciechowskiego* (Nr. 25)
POLSKA PIESN LUDOWA, w opr. prof. *J. St. Bystronia* (Nr. 26)
Mickiewicza TRYBUNA LUDOW, w oprac. red. *E. Haeckera* (Nr. 27)
Korzeniowskiego KOLLOKACJA, w op. *K. Wojciechowskiego* (Nr. 28)
Słowackiego KSIĄDZ MAREK, w oprac. *St. Turowskiego* (Nr. 29)
Zaleskiego WYBOR POEZYJ, w opr. prof. *Józefa Tretiaka* (Nr. 30)
Długosza BITWA GRUNWALDZKA, w opr. *J. Dąbrowskiego* (Nr. 31)
Fredry ZEMSTA, w oprac. prof. *Eugenjusza Kucharskiego* (Nr. 32)
Pola PIESNI JANUSZA, w opr. prof. *Józefa Kallenbacha* (Nr. 33)
Brodzińskiego WYBOR POEZYJ, w oprac. prof. *Al. Łuckiego* (Nr. 34)
Konarskiego WYBOR PISM POLITYCZNYCH, w opracowaniu prof. *Władysława Konopczyńskiego* (Nr. 35)
Fredry PAN JOWIALSKI, w oprac. prof. *Eug. Kucharskiego* (Nr. 36)
Ujejskiego WYBOR POEZYJ, w oprac. prof. *M. Janika* (Nr. 37)
Blizińskiego PAN DAMAZY, w opr. *Dra Z. Nowakowskiego* (Nr. 38)
Romanowskiego DZIEWCZĘ Z SĄCZA, w opr. *Dr. St. Lama* (Nr. 39)
Reja WYBOR PISM, w oprac. prof. *Aleksandra Brücknera* (Nr. 40)
Krasickiego DOSWIADCZYNSKIEGO PRZYPADKI, w opracowaniu prof. *Bronisława Gubrynowicza* (Nr. 41)

Krasińskiego IRYDION, w oprac. prof. *Tadeusza Sinki* (Nr. 42)
Słowackiego MINDOWE, w opracow. prof. *Wiktora Hahna* (Nr. 43)
Goszczyńskiego ZAMEK KANIOWSKI, w op. prof. *J. Tretiaka* (Nr. 44)
Sowińskiego WYBOR POEZYJ, w opr. dyr. *Wł. Brydy* (Nr. 45)
Malczewskiego MARJA, w oprac. prof. *Józefa Ujejskiego* (Nr. 46)
Słowackiego POWIEŚCI POETYCKIE, w opr. *M. Kridla* (Nr. 47)
SIELANKA POLSKA W XVII WIEKU, w opr. *A. Brücknera* (Nr. 48)
Słowackiego TRZY POEMATA, w opr. prof. *Józ. Maurera* (Nr. 49)
Goszczyńskiego KROL ZAMCZYSKA, w opr. prof. *J. Tretiaka* (Nr. 50)
Słowackiego BALLADYNA, w opr. prof. *Juljusza Kleinera* (Nr. 51)
Pola MOHORT, w opracowaniu prof. *Aleksandra Łuckiego* (Nr. 52)
Kraszewskiego STARA BASN, w opr. *K. Wojciechowskiego* (Nr. 53)
Syrokomli WYBOR POEZYJ, w oprac. prof. *Fr. Bielaka* (Nr. 54)
Kraszewskiego BUDNIK, w oprac. prof. *Wiktora Hahna* (Nr. 55)
Mochnackiego O LITERATURZE POLSKIEJ XIX WIEKU, w opracowaniu prof. *Henryka Życzyńskiego* (Nr. 56)
Słowackiego SEN SREBRNY SALOMEI, opr. *S. Turowskiego* (Nr. 57)
Kraszewski POWROT DO GNIAZDA, w opr. *W. Hahna* (Nr. 58)
Galla-Anonima KRONIKA, w oprac. prof. *R. Grodeckiego* (Nr. 59)
SREDNIOWIECZNA POEZJA POLSKA SWIECKA, w opracow. dra *Stefana Vrtel-Wierczyńskiego* (Nr. 60)
Rzewuskiego LISTOPAD, w opr. prof. *K. Wojciechowskiego* (Nr. 61)
Paska PAMIĘTNIKI, w oprac. prof. *Aleksandra Brücknera* (Nr. 62)
Korzeniowskiego KARPACCY GORALE, w opr. *W. Hahna* (Nr. 63)
Norwida WYBOR POEZYJ, w opr. prof. *St. Cywińskiego* (Nr. 64)
SREDNIOWIECZNA PIESN RELIGIJNA POLSKA, w opracowaniu prof. *Aleksandra Brücknera* (Nr. 65)
Mickiewicza POEZJE (Tom II), w opr. prof. *J. Kallenbacha* i prof. *J. Bystrzyckiego* (Nr. 66)
Asnyka WYBOR POEZYJ, w opr. prof. *Eug. Kucharskiego* (Nr. 67)
SREDNIOWIECZNA PROZA POLSKA, w opracowaniu prof. *Aleksandra Brücknera* (Nr. 68)
Anczyca KOSCIUSZKO POD RACŁAWICAMI, w opracowaniu prof. *Jana St. Bystronia* (Nr. 69)
Skargi KAZANIA SEJMOWE, w opr. prof. *Stanisława Kota* (Nr. 70)
Kraszewskiego DZIECIĘ STAREGO MIASTA, opr. *W. Hahna* (Nr. 71)
Mickiewicza KONRAD WALLENROD, w opr. *J. Ujejskiego* (Nr. 72)
Zimorowica ROKSOLANKI, w oprac. prof. *A. Brücknera* (Nr. 73)
Mickiewicza GRAŻYNA, w opracowaniu prof. *Henryka Życzyńskiego*, z wstępem prof. *Józefa Tretiaka* (Nr. 74)
Potockiego WOJNA CHOCIMSKA, w opr. prof. *A. Brücknera* (Nr. 75)
Słowackiego MAZEPA, w opr. prof. *Bron. Gubrynowicza* (Nr. 76)
TOWARZYSTWO FILOMATOW, w opr. prof. *Al. Łuckiego* (Nr. 77)
Anczyca OBRAZKI DRAMATYCZNE LUDOWE, w opracowaniu prof. *Jana St. Bystronia* (Nr. 78)
Mickiewicza PISMA ESTETYCZNO-KRYTYCZNE, w opracowaniu prof. *Henryka Życzyńskiego* (Nr. 79)
Trembeckiego WYBOR POEZYJ. SOFIOWKA, w opracowaniu *Władysława Jankowskiego* (Nr. 80)

Krasińskiego IRYDJON, w oprac. prof. Tadeusza Sinki (Nr. 41)
Słowackiego MINDOWE, w opracowaniu prof. Wiktora Hahna (Nr. 43)
Goszczyńskiego ZAMEK KANIOWSKI, w opr. prof. J. Tretiaka (Nr. 44)
Sowińskiego WYBÓR POEZYJ, w opr. dyr. Wł. Bogdana (Nr. 45)
Malczewskiego MARJA, w oprac. prof. Józefa Ujejskiego (Nr. 46)
Słowackiego POWIEŚCI POETYCKIE, w opr. M. Kridla (Nr. 47)
SIELANKA POLSKA W XVII WIEKU, w opr. A. Brücknera (Nr. 48)
Słowackiego TRZY POEMATA, w opr. prof. [illegible] (Nr. 49)
Goszczyńskiego KRÓL ZAMCZYSKA, w opr. prof. [illegible] (Nr. 50)
Słowackiego BALLADYNA, w opr. prof. [illegible] (Nr. 51)
Pola MOHORT, w opracowaniu prof. Aleksandra Łuckiego (Nr. 52)
Kraszewskiego STARA BAŚŃ, w opr. K. Wojciechowskiego (Nr. 53)
Syrokomli WYBÓR POEZYJ, w oprac. prof. Fr. Bielaka (Nr. 54)
Kraszewskiego BUDNIK, w oprac. prof. Wiktora Hahna (Nr. 55)
Mochnackiego O LITERATURZE POLSKIEJ XIX WIEKU, w opracowaniu prof. Henryka Życzyńskiego (Nr. 56)
Słowackiego SEN SREBRNY SALOMEI, opr. J. Tarnowskiego (Nr. 57)
[illegible] POWRÓT DO GNIAZDA, w opr. W. Hahna (Nr. 58)
Galla-Anonima KRONIKA, w oprac. prof. R. Grodeckiego (Nr. 59)
ŚREDNIOWIECZNA POEZJA POLSKA ŚWIECKA, w opracowaniu prof. Stefana Vrtel-Wierczyńskiego (Nr. 60)
Rzewuskiego LISTOPAD, w opr. prof. K. Wojciechowskiego (Nr. 61)
Paska PAMIĘTNIKI, w oprac. prof. Aleksandra Brücknera (Nr. 62)
Korzeniowskiego KARPACCY GÓRALE, w opr. W. Hahna (Nr. 63)
Naruszewicza WYBÓR POEZYJ, w opr. prof. St. [illegible] (Nr. 64)
ŚREDNIOWIECZNA PIEŚŃ RELIGIJNA POLSKA, w opracowaniu prof. Aleksandra Brücknera (Nr. 65)
Mickiewicza POEZJE (Tom I), w opr. prof. J. Kallenbacha i prof. J. [illegible] (Nr. 66)
Asnyka WYBÓR POEZYJ, w opr. prof. Kaz. [illegible] (Nr. 67)
ŚREDNIOWIECZNA PROZA POLSKA, w opracowaniu prof. Aleksandra Brücknera (Nr. 68)
Anczyca KOŚCIUSZKO POD RACŁAWICAMI, w opracowaniu prof. Jana St. Bystronia (Nr. 69)
Skargi KAZANIA SEJMOWE, w opr. prof. Stanisława Kota (Nr. 70)
Kraszewskiego DZIECIĘ STAREGO MIASTA, opr. W. Hahna (Nr. 71)
Mickiewicza KONRAD WALLENROD, w opr. J. Ujejskiego (Nr. 72)
Zimorowica ROKSOLANKI, w oprac. prof. A. Brücknera (Nr. 73)
Mickiewicza GRAŻYNA, w opracowaniu prof. Henryka Życzyńskiego, z wstępem prof. Józefa Tretiaka (Nr. 74)
Potockiego WOJNA CHOCIMSKA, w opr. prof. A. Brücknera (Nr. 75)
Słowackiego MAZEPA, w opr. prof. Bron. Gubrynowicza (Nr. 76)
TOWARZYSTWO FILOMATÓW, w opr. prof. Al. Łuckiego (Nr. 77)
Anczyca OBRAZKI DRAMATYCZNE LUDOWE, w opracowaniu prof. Jana St. Bystronia (Nr. 78)
Mochnackiego PISMA ESTETYCZNO-KRYTYCZNE, w opracowaniu prof. Henryka Życzyńskiego (Nr. 79)
[illegible] WYBÓR POEZYJ. SOBÓTKA, w opracowaniu [illegible]

Górnickiego DWORZANIN, w opracow. prof. *Romano*
LITERATURA SOWIZDRZALSKA, w opr. prof. *Al.*
Niemcewicza WYBÓR POWIEŚCI, w opr. prof. *Br. Gr*
Mickiewicza PISMA POLITYCZNE, w oprac. prof. *S*
POLSKIE WIDOWISKA LUDOWE, w opr. prof. *J.*
Starowolskiego ODPRAWA OSZCZERCOM POLSK
prof. *Stanisława Kota*
Czajkowskiego WERNYHORA, w opr. dra *Zygm. Szwey.*
POEZJA LEGJONÓW, w opr. prof. *Bronisława Gubry.*
Kochowskiego PSALMODJA POLSKA, w opracow. prof. *Juljana Krzyżanowskiego*
Mickiewicza WYBÓR PISM I PRZEMÓWIEŃ MESJANISTYCZNYCH, w opracowaniu prof. *Stanisława Pigonia*
WALKA KLASYKÓW Z ROMANTYKAMI, w opracowaniu prof. *Aleksandra Łuckiego*
Krasickiego SATYRY I LISTY, w oprac. dyr. dra *L. Bernackiego*
POWSTANIE LISTOPADOWE. Wybór pism politycznych i wojskowych, w opracowaniu dra *Józefa Frejlicha*
Starowolskiego PRAWY RYCERZ, w opr. prof. *Franc. Bielaka*
Chodźki PAMIĘTNIKI KWESTARZA, w opr. prof. *W. Borowego*
Opalińskiego Łukasza PISMA POLSKIE, w opr. prof. *Stan. Kota*
Kraszewskiego PAMIĘTNIK MROCZKA, w opr. prof. *W. Hahna*
Fredry MĄŻ I ŻONA, w oprac. prof. *Eugenjusza Kucharskiego*
FACECJE I ANEGDOTY STAROPOLSKIE, w opracowaniu prof. *Aleksandra Brücknera*
Janka z Czarnkowa KRONIKA, w opr. prof. *Jana Dąbrowskiego*
Goszczyńskiego SOBÓTKA i DZIENNIK PODRÓŻY DO TATR, w opracowaniu dra *Aleksandra Słapy*
Krasickiego MONACHOMACHJA, w opr. dyr. dra *L. Bernackiego*
Kraszewskiego WYBÓR NOWEL, w oprac. prof. *Wiktora Hahna*
Czajkowskiego STEFAN CZARNIECKI, w oprac. dra *Zygmunta Szweykowskiego*
Naruszewicza WYBÓR PISM, w oprac. dyr. dra *L. Bernackiego*
Fredry ODLUDKI I POETA, w oprac. prof. *Eug. Kucharskiego*
Twardowskiego NADOBNA PASKWALINA, w opr. prof. *R. Pollaka*
Kościuszki MOWY I LISTY, w opr. prof. *Henryka Mościckiego*
ROMANS STAROPOLSKI, w opr. prof. *Juljana Krzyżanowskiego*
Klonowicza WYBÓR POEZYJ, w opracow. prof. *St. Łempickiego*

DO NABYCIA

W KRAKOWSKIEJ SPÓŁCE WYDAWNICZEJ
(KRAKÓW, UL. Św. FILIPA L. 25)

W KSIĘGARNI JAGIELLOŃSKIEJ
(KRAKÓW, UL. WIŚLNA 3)

I WE WSZYSTKICH INNYCH KSIĘGARNIACH